ŻYCIE

ROK XI — NR 44 (541) NIEDZIELA, 3 LISTOPADA 1957 R. CENA 1/6.



Szczegół pomnika nagrobnego kanonika Łukasza Guislain (1628), wykonany przez Mikołaja Blasset — katedra w Amiens (patrz artykuł na str. 10, 11).

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 44 (541)

Niedziela, 3 listopada 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja Rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie: s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr.1.950.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N. J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy: Mme Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.

LISTY DO REDAKCJI

PODZIĘKOWANIE

Wszystkich współpracowników „Veritasu" którzy swą cenną pracą przyczynili się do tego, iż mój przekład Homerowej „Odysei" mógł ukazać się na nowo, poza Polską, w trzecim wydaniu i w nowej, emigracyjnej wersji, proszę o przyjęcie wyrazów mej szczerej wdzięczności.

W obecnych warunkach życia naszej emigracji puszczenie na nowo w tzw. świat — tej starej i długiej pieśni o tułaczu Odysie — nie jest tylko ewenementem wydawniczym. Jest również symbolem. Tułactwo Odysa bowiem, jego walka z przeciwnościami losu, z wrogimi żywiołami i nieżyczliwymi bogami, oraz szczęśliwy jego powrót, po latach dwudziestu, do ojczystej Itaki, której był królem — jest głęboką parobalą naszych własnych losów.

Cierpliwą i zbożną pracę skrybów i kopistów, którzy w dawnych wiekach, przed wynalezieniem druku, z miłością przenosili na pergamin każdą głoskę „Odysei", i nie tylko w greckim oryginale, kontynuują w naszych czasach — drukarze. Winni być dumni z tego. Dziękuję więc za owocny trud, poniesiony przy składaniu tej mojej nowej wersji przekładu „Odysei" — linotypistom, panom: Stanisławowi Habasowi, Władysławowi Podgórskiemu i Stefanowi Wojtowiczowi, metrampażowi, panu Franciszkowi Rutkowskiemu, oraz panu Stanisławowi Pawłowskiemu który tę książkę tłoczył. Nie wolno mi — oczywiście — zapominać o panu Zygmuncie Kotkowskim, pod którego doświadczonym zarządem pracuje drukarnia Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w Londynie.

Szczególnie jednak niech mi wolno będzie podziękować za przyjazną opiekę nad tą książką panu Janowi Bielatowiczowi, redaktorowi „Biblioteki Polskiej".

Nazwiska wyżej wymienione słusznie podano do wiadomości czytelników na ostatniej stronicy tego, londyńskiego wydania mojego przekładu „Odysei". Czytelników, którym lektura tej książki przysporzy kilka godzin duchowego zadowolenia, proszę o łaskawe pamiętanie, że bez umiejętnej pracy osób wymienionych tu po nazwisku nie byłoby tej książki.

Józef Wittlin

TO NIE JEST TAKIE GROŹNE

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem z dużym zainteresowaniem w ŻYCIU nr 34 artykuł „Polonusa" pt. „Propaganda rozbioru".

Oczywiście , zjawiskiem bardzo chwalebnym jest bicie na alarm, jeśli najżywotniejsze interesy naszej ojczyzny są zagrożone. Tym nie mniej nie podzielam obaw „Polonusa", by propaganda Mr. Reece'a mogła w naprawdę decydujących czynnikach U.S.A. odnieść skutek, jaki on (Mr. Reece) i jego poplecznicy sobie zakreślili.

Być może, że marzenia „Drang nach Osten", pomimo wielokrotnego załamania się, miałyby pewne szanse realizacji przy znanym zaślepieniu naszych obecnych, względniebyłych sojuszników lub sympatyków. Mimo to jednak, wydaje mi się, że zaślepienie dzisiejszych koniunkturalnych przyjaciół Niemiec zachodnich nie sięga tak daleko, by zapoznawali niebezpieczeństwo ekspansji niemieckiej.

Nie tyle terytorialnej — ile gospodarczej. Przecież już dziś, zaledwie po upływie 12 lat od zakończenia wojny, Niemcy, po niesłychanych zniszczeniach, zdumiewająco szybko zasklepiły swe rany i kraj ich stał się potęgą światową w zakresie przemysłowym rywalizując nader skutecznie z przemysłami USA i reszty Zachodu.

Cóż byłoby, gdyby po reunifikacji Niemiec, Niemcy zjednoczone wydarły Polsce Górny Śląsk z jego bogactwami kopalnianymi oraz resztę ziem, do których Mr. Reece & Co. zgłaszają pretensje?

Moim zdaniem, byłoby to końcem mitu „dobrych Niemiec" Mr. Adenauera i zapoczątkowaniem dalszych prób podbojów, tak „szczęśliwie" dla Niemiec zakończonych w maju 1945 roku.

Dopuszczenie do tego stanu rzeczy nie leży na pewno w interesie Zachodu i miejmy nadzieję, że nie tyle z miłości dla nas, ile we własnym interesie — Zachód, na dalsze wzmacnianie Niemiec, m. in. naszym kosztem, nie zezwoli.

W drugiej części artykułu „Polonus" obawia się odnowienia kooperacji Ribentrop - Mołotow. Oczywiście, zawsze taka ewentualność może zaistnieć między naszymi (niestety) sąsiadami.

Na naszą pociechę możemy stwierdzić, że kooperacja między tymi dwoma potęgami kończyła się między nimi nieuniknionym konfliktem i, jak historia wykazuje, bezpieczniej dla nich jest nie mieć wspólnej granicy.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

C. Polechowicz

KRONIKA

PROFESOR GIERGIELEWICZ OBJĄŁ KATEDRĘ W AMERYCE

Znany szeroko naukowiec i działacz społeczny, profesor Uniwersytetu Polskiego na Obczyźnie, dr Mieczysław Giergielewicz objął z rokiem akademickim 1957/8 katedrę w Alliance College w Stanach Zjednoczonych. Ma on tam tytuł Associate Professor of Polish Language and Culture. Prof. Giergielewicz doktoryzował się przed wojną na Uniwersytecie Warszawskim, przedstawiwszy pracę pt. „Maurycy Gosławski, żołnierz-poeta". Ma on w swym dorobku opublikowane na emigracji: studium „Drogi Mickiewicza", komentowane opracowanie poezji Norwida, Słowackiego i Malczewskiego. W roku 1957 nakładem PUNO ukazała się jego książka pt. „Rym i wiersz", będąca pierwszym na emigracji dziełem z tego zakresu. Jest on współredaktorem dwu ksiąg pamiątkowych, ku czci Słowackiego (r. 1951) i Mickiewicza (1957).

Jest czynnym członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego i Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Od roku 1932 pełnił Mieczysław Giergielewicz obowiązki wizytatora szkół średnich w Kuratorium Warszawskim oraz przewodniczył Komisji Oceny Książek przy Ministerstwie W. R. i O. P.

W latach 1938/9 był kierownikiem wydawniczym firmy nakładczej Gebethner i Wolff w Warszawie i współredaktorem PAT w dziale kulturalnym. W czasie wojny zorganizował sieć szkół polskich w Rumunii. Służył w Brygadzie Spadochronowej, a po wojnie został kierownikiem działu ogólnego w londyńskim Ministerstwie W. R. i O. P. a następnie zastępcą kierownika w tzw. Dziale Oświaty. Wykładał w Szkole Nauk Politycznych i na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie jako docent a następnie profesor.

Prof. Giergielewicz ma poza tym długoletnią pracę społeczną dla Światpolu. Za pracę społeczną odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi.

S. L.

WYSTAWA SAMOCHODOWA W LONDYNIE

Wystawa samochodowa na Earls Court przedstawia się imponująco. Jej znaczenie jest poważne w związku z realizacją planów wolnej wymiany towarowej krajów europejskich a więc zniesienia ograniczeń dla sprzedaży samochodów. Samochody brytyjskie należą do najpiękniejszych w świecie, co prawda amerykańskie są bardziej efektowne, lecz zbyt duże jak na drogi Europy i często raczej wulgarne. Angielskie samochody są mniejszych wymiarów niż amerykańskie i posiadają dyskretną elegancję.

Najprzyjemniejszymi eksponatami są maleńkie samochody. Widzimy tu **Isettę** wyprodukowaną w Brighton, obok maszyn fabrykacji zagranicznej. Nowy **BMW 600** budzi duże zainteresowanie zwiedzających. Małe samochody zwyciężają duże w obecnych czasach drogiej benzyny. Anglia w tej dziedzinie małych samochodów-liliputów ma groźnego konkurenta w Niemcach, ale robi wszystko co możliwe i to nie bez powodzenia, żeby wysunąć się w tej dziedzinie na czoło produkcji europejskiej.

Bezkonkurencyjni są Anglicy w produkcji znakomitych wozów sportowych. Produkują je po cenach naprawdę umiarkowanych. Oglądamy w tej kategorii wozy **Austin-Healey, Jaguar, Bristol, Aston-Martin** i inne. Stałą, niezmiennie dobrą opinią cieszą się na szerokim świecie brytyjskie wozy klasy luksusowej, jak **Rolls-Royce** i **Bentley.** Są one również chętnie kupowane w Stanach Zjednoczonych jak i w całej Europie. W tych luksusowych maszynach daje się zauważyć lekki wpływ produkcji amerykańskiej.

Jeszcze większe upodobnienie do kształtów amerykańskich widzimy w samochodach o cenach przystępnych. Różne unowocześnienia konstrukcyjne wprowadzono do wozów **Ford-Anglia** i **Prefect.** Co cechuje ostatnią produkcję? Nieznaczne zmiany w konstrukcji a dość duże zmiany w karoseriach (i kolorach) samochodów. Tutaj uwidacznia się kapryśny gust kobiet, które chcą mieć wóz twarzowy jak szczegóły toalety.

Wozy brytyjskie coraz bardziej dostosowują się do Europy w miarę wzrostu turystyki do Francji, Włoch i Hiszpanii.

STULECIE „KLUBU ALPINISTÓW"

„The Geographical Magazine" z października bież. roku przynosi artykuł pt. „Stulecie Klubu Alpinistów" (The Alpine Club Centenary) pióra Toma Longstaffa.

Longstaff jest byłym wiceprezesem Alpine Clubu i znanym zdobywcą gór Alp, Kaukazu, Himalajów i gór Ameryki Północnej. Brał również, w ciągu swej 50-letniej kariery alpinistycznej, udział w wyprawach na Antarktydę.

W artykule tym opowiada on o ważniejszych wyprawach na szczyty górskie w ciągu ubiegłych wieków, uwypuklając fakt, że dawniej zdobywano szczyty górskie dla celów praktycznych i badań naukowych. Podróżnicy czy geografowie Francji i Szwajcarii, któ-

PUNKTY WIDZENIA

POLSKIE ŚCIEŻKI CMENTARNE

Gdyśmy układali bieżący, zaduszkowy numer ŻYCIA, pani Alicja Kisielnicka, autorka uroczej książeczki „Białe dzieci na czarnym lądzie", co dopiero wydanej na sezon jesienny, wspomniała o cmentarzach polskich w Afryce. Powiedziała, że należą one chyba do najsmutniejszych z tych, gdzie Polacy w czasie swej wędrówki ostatnich prawie już dwudziestu lat byli chowani. Cmentarze w Ugandzie, Kenii, Tanganice i Somaliland znajdują się na skraju osiedli i puszczy, na granicy cywilizacji i dziczy. Puszcza wdziera się między groby, pochłania je żywiołem wzrostu i niweluje wszelki ślad zewnętrzny po mogiłach.

Nie wiem, czy te w Ugandzie, Kenii i Tanganice są najsmutniejsze. Opowiadano mi wiele o grobach polskich rozsianych po całej Rosji, europejskiej i azjatyckiej. Opowiadano mi wstrząsające wypadki pogrzebów po grudzie śnieżnej w pustym stepie, w licho skleconych trumnach z rozlatującym się wiekiem, które przytrzymywane było w wielokilometrowej drodze na cmentarz zrozpaczonymi ramionami najbliższych. Mówiono o grobach na tragicznych cmentarzach rosyjskich bez krzyży.

Gdy się przegląda coraz piękniej wydawane w Polsce albumy o podnoszonej z gruzów Warszawie, przychodzi czasem myśl, że to nowe, bujne, wzruszające życie nadziei współczesnego pokolenia polskiego wystrzela dosłownie z prochów cmentarnych, a pod płytami ulicznymi leży tysiące niedoszukanych grobów.

W Oświęcimiu i Majdanku, a przecież to nie jedyne miejsca masowych straceń, utworzono miejsca żałobnej pamięci, ustawiono pamiątkowe pomniki nad usypiskami ludzkich popiołów, które przeszły przez krematoria. W samym Oświęcimiu zginęło wiele milionów ludzi. Cóż to za niepomierne złoża popiołów, cóż to za cmentarze, chyba największe cmentarze na świecie!

Gdy przychodzi początek listopada, Dzień Zaduszny, i kiedy myśl — bardziej niż w zwykłe dni — podchodzi pod progi wielkiej tajemnicy ludzkiego życia, jego śmierci, samo nasuwają się takie polskie bilanse ostatnich osiemnastu lat. Mało jest narodów, które by — podobnie jak naród polski — w tak krótkim czasie wydały na kosbę śmierci takie bogate żniwo życia. W tej obfitości zgonów można rozeznać przyczynę katastrofy zewnętrznej, narzuconej przez złych, opętanych szaleństwem ludzi. Ale nie przypadek tylko powodował polską śmierć. Przychodziła ona w następstwie pełnej świadomości, że się ją wybiera jako konieczność dla zdobycia wartości większych niż śmierć fizyczna.

Z pewnego punktu widzenia ziemię polską można oglądać jako kraj mogił i prochów szczególnie licznych, z którego rozchodzą się ścieżki cmentarne po całym globie ziemskim, gdziekolwiek nieszczęście polskie i polska walka o najwyższe ludzkie ideały rozsypały się w czterdziestych i pięćdziesiątych latach naszego stulecia. Wiele z tych grobów jest tak dalekich lub tak ogarniętych puszczami, pustyniami i morzami, że nikt ich już — zdawało by się — nie dopatrzy i nie doliczy. Co więcej, ktoś doliczy się bezimiennych grobów nawet pod brukami huczącej życiem współczesnej Warszawy!

Życie zatliło się, potrwało jak płomyczek na wietrze i rozwiało się jak mgła?

Cóż za oczywisty nonsens! Nic tak fragmentaryczności ziemskiego fizycznego życia ludzkiego, jako części wielkiej sprawy życia ludzkiego poza grobem, nie dowodzi jak właśnie przykład polskiej śmierci w ostatnich osiemnastu latach. Któż na świecie nie wie, że można jej było w bardzo wielkiej mierze uniknąć, zachowując się inaczej. A jednak ryzykowano ją i wybierano. Wybór ten przychodził z wiary, że wielkie sprawy duchowe, sprawy ratowania miłości na świecie są ważniejsze od krótkich okresów życia na ziemi. Że są one już tu zadatkiem spraw, w które człowiek wchodzi po śmierci. Jest więc chęć je nam odebrać, raczej należy iść drogą poświęcenia, niż je tracić, lub się ich zaprzeć.

Mówiło się i mówi, że naród polski jest narodem, który potrafi umierać, ale nie potrafi żyć. W wielu wypadkach powiedzenie to jest słuszne, mianowicie wszędzie tam, gdzie polska śmierć — z braku planu, z braku trzeźwego przemyślenia — była niepotrzebna, przesadnie rozrzutna, zbędna. Ale nie dobrze jest popadać w inną skrajność: w realizm oportunizmu i wygody. Wielkie sprawy życia buduje się nie tylko myślą, ale i ofiarą. Gdy się więc ma takie położenie geograficzne, jakie ma nasz naród, a nie chce się zginąć i rozpłynąć w obcym morzu, używszy wprzód bezskutecznie wszystkich środków rozumu i przezorności, trzeba zdobywać się na ofiarę.

Jest w polskim zwyczaju zapalać w Dniu Zadusznym kaganki i lampki oliwne na grobach zmarłych. Na wielu cmentarzach w Polsce i na wielu grobach polskich za granicą te światła będą zapalone, przebijając mrok listopadowej nocy. Dobrze jest jednak pomyśleć, że setki i tysiące grobów polskich w ten wieczór będzie samotnych i ciemnych. Przez głuchość przestrzeni i zapomnienia będą wołały o pamięć żywych. Za daleko będą, aby zapalić na nich światło. Ale światło kaganka na grobie ludzkim jest jedynie symbolem. Prawdziwą pochodnią pamięci jest modlitwa, a tę można zapalić z największego nawet oddalenia, z najniklejszej nawet pamięci i wspomnienia.

Na wszystkich nas ciąży bezustanny, a w ten wieczór specjalny obowiązek chrześcijański — modlitwy za zmarłych, wszystkich za wszystkich. Nigdy bardziej nie widać tak wyraźnie tego obowiązku, jak w stosunku do grobów polskich usypanych w ostatnich osiemnastu latach. W większości wypadków to oni — polegli i zmarli w tym czasie — dali swoje życie za życie nasze, za te rzeczy, w które wierzymy i którymi chcemy być otoczeni. Wszędzie na okół pieni się i burzy pędami wzrostu nowe ludzkie życie. Epoka jest burzliwa, ale pełna dynamiki i pasji życia. Wisi wiele gróźb, ale istnieje równocześnie nadzieja wielkiego odrodzenia, lepszego świata.

Jeśli istnieje ona, to w dużej mierze dzięki tym, którzy za nią ponieśli ofiarę aż po grób. Bo życie i śmierć to jedno. Jeden z najpiękniejszych listów św. Pawła mówi: „Pożarta jest śmierć w zwycięstwie. Gdzież jest zwycięstwo twe, o śmierci? Gdzież jest, śmierci, oścień twój?"

J. K.

rzy w ciągu XVIII i XIX wieku specjalnie dużo szczytów osiągnęli, robili to wyłącznie dla celów naukowych, dopiero później na plan pierwszy wysunęła się „czysta" emocja sportowa i taki charakter przeważnie ma wspinaczka nowoczesna.

Alpinistyka nowoczesna liczy się od roku 1854, kiedy to Alfred Wills wszedł na szczyt Wetterhorn wyłącznie tylko dla celów sportowych. W roku 1857 powołano do życia Klub Alpinistów. Jego członkowie uważają, iż nie ma piękniejszego sportu niż alpinistyka. Jakiż sport bowiem wymaga tak pełnego wykorzystania wszystkich sił fizycznych i hartu ducha, jak to jest potrzebne przy zdobywaniu gór? — zapytuje Tom Longstaff.

W miarę rozwoju tej gałęzi sportu zaczęto stosować wynalezione (przeważnie przez Francuzów) specjalne ubrania chroniące przed zimnem i wiatrem, odpowiednie jedzenie w formie lekkiej, a więc ekstrakty witaminowe i konserwy (pokarmy odwodnione), oraz aparaty tlenowe, które umożliwiają wyprawy na najwyższe szczyty świata.

Tom Longstaff — między innymi wyczynami — w pięćdziesięciolecie założenia Klubu Alpinistów wraz z grupą towarzyszy zdobył, w roku 1907, szczyt Trioul w centralnej części Himalajów.

W roku obecnym przypada stulecie Klubu Alpinistów. Tak się pięknie składa, że w tym właśnie roku tyle jest wypraw naukowych, tyle wspaniałych okazji do „szalonych" przygód, do „czystej" sportowej emocji.

KOMUNIKATY

PORADNIA MAŁŻEŃSKA

Wobec coraz bardziej lekkomyślnego zawierania małżeństw i nieumiejętności wychowywania dzieci przystąpiono w różnych diecezjach świata katolickiego do organizowania poradni małżeńskich, w których udzielają porad księża, lekarze i doświadczeni małżonkowie. Nieraz urządza się specjalne kursy. W archidiecezji westminsterskiej działa Catholic Marriage Advisory Council, 38/39 Parliament Street, London, S.W.1, tel. WHItehall 0816. Obecnie w trzech punktach Londynu odbywają się zorganizowane przez tę poradnię małżeńską kursy dla narzeczonych: w poniedziałki o godz. 8 wieczorem (21 i 28 października, 4, 11, 18 i 25 listopada i 2 grudnia) w St. Chad's Hall, Whitworth Rd., South Norwood, stacja Norwood Junction S. R.; we wtorki o godz. 8 wieczorem (29 października, 5, 12, 19 i 26 listopada i 3 i 10 grudnia) w lokalu The Grail, 58 Sloane Street, S.W.1; we środy o godz. 8 wiecz. (23 i 30 października, 6, 13, 20 i 27 listopada i 4 grudnia) w The Aquinas Centre, St. Dominic's Priory, Southampton Rd., N.W.5. Tematy wszystkich kursów obejmują: powołanie do małżeństwa, zaręczyny, zrozumienie wzajemne, fizjologia płci, wychowanie dzieci, finanse domowe i kupno domu, urządzenie zaślubin. W czasie kursów odbędzie się dzień rekolekcyj dla narzeczonych w Holy Child Convent, Cavendish Square, W.1 i w St. Joseph's Convent, Grove Park.

Komunikat Komitetu Kościelnego

Zarząd Komitetu Kościelnego Parafii Polskiej w śródmieściu Londynu uprzejmie zawiadamia, że dnia 9 listopada br. (sobota) o godz. 7 wiecz., **odbędzie się** w sali „Veritasu", 21 Earls Court Square, S.W.5, **Walne Zebranie członków parafii**, na które wszystkich parafian serdecznie zapraszamy.

Za Zarząd

Ppłk M. Piekarczyk
prezes

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 44 (541) LONDYN, NIEDZIELA, 3 LISTOPADA 1957



J. E. ks. biskup dr KAROL PĘKALA, sufragan tarnowski, były dyrektor „Caritasu", opiekun spraw charytatywnych w Polsce, w drodze do Stanów Zjednoczonych Ameryki, zatrzymał się we Francji i w Wielkiej Brytanii (patrz str. 7 bieżącego numeru).

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŚWIECCY WOBEC KRYZYSU ŚWIATA

Napisał WOJCIECH WASIUTYŃSKI

Na drugi światowy kongres apostolstwa świeckich zjechali się do Rzymu przedstawiciele osiemdziesięciu krajów. Przyjechało osiemnaście delegacji afrykańskich, dwadzieścia amerykańskich, siedemnaście azjatyckich, dziewiętnaście europejskich, trzy oceaniczne i dwanaście delegacji emigracyjnych. Ta sumaryczna statystyka daje pojęcie o tym, ile problemów i jak różnorodnych spotkało się na tym kongresie. Tłumaczy, dlaczego w tym krótkim sprawozdaniu tylko parę zagadnień wybranych może być poruszone. Statystyka ta także wyjaśnia, dlaczego pewne formy działalności akcji katolickiej dojrzały do rewizji.

Przed stu laty katolicyzm był wyznaniem mieszkańców południowej połowy Europy. Istniały wyraźnie określone narody katolickie, państwa katolickie i rządy katolickie. Poza tym były kolonie katolickie za oceanami, nieliczne i egzotyczne. Wyobrażenie czarnego lub żółtego biskupa było wtedy czymś fantastycznym. Jeszcze przed trzydziestu laty, gdy powstawała Akcja Katolicka, cały ciężar spraw kościelnych leżał w Europie. Formy organizacyjne wypracowane we Włoszech nadawały się z niewielkimi zmianami do zastosowania we Francji, w Niemczech czy Polsce. Jeszcze przed sześciu laty pierwszy kongres apostolstwa świeckich odbywał się pod znakiem przewagi Europejczyków. Drugi kongres, który odbył się teraz w październiku, w pełni odzwierciedlił zmiany zaszłe w położeniu Kościoła.

Zachodnia Europa i jej problemy katolickie stały się fragmentem w życiu Kościoła. Katolicy żyją dziś w czterech, mniej więcej równych znaczeniem, kręgach: w wolnych krajach Europy, w nowych krajach zachodnich, przede wszystkim amerykańskich, w krajach do niedawna misyjnych lub jeszcze misyjnych Afryki i Azji, w krajach pod władzą komunistyczną. Narodów jednolicie katolickich jest niewiele, państw katolickich jeszcze mniej. Natomiast Kościół jest wszędzie i wiara szerzy się tam, gdzie przed kilkudziesięciu laty była prawie nieznana. Wśród zgromadzonych na trybunie honorowej biskupów można było podczas kongresu rzymskiego znaleźć wszystkie odcienie skóry, od białego i żółtego po zupełnie czarny. Z krajów misyjnych przyjechali nie misjonarze, ale świeccy działacze katoliccy, mężczyźni i kobiety, dużo młodych. Natomiast przedstawiciele osiemdziesięciu milionów katolików spod władzy komunistycznej przyjechać nie mogli.

W tak zmienionym świecie nie da się stosować bez zmiany sztucznych form organizacyjnych opracowanych w czasach, gdy we Włoszech rządził Mussolini, a w Hiszpanii król Alfons XIII, gdy Indie były kolonią angielską, a w Stanach Zjednoczonych katolicyzm był wyznaniem drugiej klasy.

APOSTOLSTWO ŚWIECKICH A AKCJA KATOLICKA

Termin: **apostolstwo świeckich,** jest dla wielu katolików nowy. Zadają oni sobie pytanie, czy światowy kongres apostolstwa świeckich jest zjazdem Akcji Katolickiej. Już na pierwszym kongresie, w roku 1951, Papież Pius XII wyjaśnił, że pojęcie apostolstwa świeckich jest szersze i starsze od pojęcia Akcji Katolickiej. Świeccy apostołowie stanowili ważny element życia Kościoła od najdawniejszych czasów. Użył nawet wtedy określenia, że w dawnych czasach, w krajach, gdzie całe życie zbiorowe przepojone było duchem religijnym, nie było potrzeby akcji katolickiej. Współczesna Akcja Katolicka jest tą częścią apostolskiej działalności świeckich, która bezpośrednio zależy od hierarchii duchownej i ma określone, statutowe formy.

Przemawiając w tym roku do dwóch tysięcy przybyłych na kongres delegatów, Ojciec Święty obszernie zajął się sprecyzowaniem stosunku między hierarchią w sensie ścisłym, tj. episkopatami, a duchownymi i świeckimi w zakresie apostolstwa świeckich. Akcja katolicka nie może dążyć do monopolu apostolstwa świeckich, obok niej istnieje wolne apostolstwo w najrozmaitszych formach. Nasuwa się potrzeba wyjaśnienia nomenklatury i struktury. Akcją katolicką należałoby nazywać wszystkie ruchy apostolstwa świeckich jako całość. Natomiast poszczególne człony obecnej Akcji Katolickiej nazywać tylko imieniem właściwym każdemu z nich poszczególnie. (W ten sposób Akcja Katolicka przestałaby być nazwą organizacji). W ślad za zmianą nomenklatury powinnaby iść zmiana organizacyjna polegająca na nadaniu całości ruchów akcji katolickiej charakteru „jedności federatywnej". Papież wyraził nadzieję, że kongres zastanowi się nad tym problemem.

Kongres uchwalił wezwanie do organizacji krajowych i międzynarodowych, by we współpracy z episkopatem przeprowadziły ankiety i opracowały wnioski.

Komentarz doktrynalny do tego zagadnienia wygłosił na plenum kongresu w pięknej i precyzyjnej formie arcybiskup Mediolanu,



„Na Wybrzeżu Kości Słoniowej modlimy się codzień za Polskę..." — mowił prezes Amichia. Stoją od lewej: dr Wojciech Wasiutyński, prezes Jan Baliński-Jundziłł, Józef Amichia, ks. Kaszubowski i ks. Tadeusz Kirschke.

msgr. Montini, witany entuzjastycznie przez zgromadzonych na sali i przez publiczność przed gmachem Palazzo Pio, gdzie odbywały się obrady.

Sprawa uelastycznienia form akcji katolickiej może mieć szczególne znaczenie dla nas, Polaków. W Polsce pod okupacją komunistyczną istnienie organizacji Akcji Katolickiej jest niemożliwe. Istnieje tam jednak niewątpliwie indywidualne apostolstwo świeckich i nie jest wykluczone formowanie apostołów świeckich, ale nie w postaci organizacji społecznej. Żeby to wyrazić graficznie, możliwa jest akcja katolicka, ale nie Akcja Katolicka.

FORMACJA APOSTOŁÓW

Formacja, przygotowanie, kształcenie podstawowe do apostolstwa świeckich stanowiło oś, dokoła której obracały się obrady. Ogólny przedmiot drugiego kongresu apostolstwa świeckich określony był jako „Świeccy w kryzysie współczesnego świata: odpowiedzialność i przygotowanie". W rzeczywistości obrad główny akcent położony był na to ostatnie słowo.

Program kongresu ujęty był w trzech płaszczyznach. Pierwsza płaszczyzna była doktrynalna — tu dominował referat arcybiskupa Montiniego o misji Kościoła. Drugą płaszczyznę określano jako „panoramę" sytuacji w świecie. Składała się ona z referatów ogólnych — tu najciekawszy i najgłębszy był referat Chińczyka, prof. C. H. Wu — i z oświetleń regionalnych. Wśród tych ostatnich najbardziej oświetlające były interwencje Kubańczyka Lasogi o położeniu w Ameryce Łacińskiej i Japończyka Hasegawy o Dalekim Wschodzie. Trzecia płaszczyzna obejmowała zagadnienia „podstawowej formacji" apostolstwa świeckich. Tu zasadniczy referat miał biskup Larrain z Talca (Hiszpania), a obszerne dyskusje odbyły się w grupach zwanych warsztatami. Było tych grup aż kilkadziesiąt, gdyż podział był nie tylko tematyczny ale i językowy. (Kongres obradował w pięciu językach — na plenum można było słuchać w równoczesnym tłumaczeniu przez słuchawki na pozostałe języki, grupy dyskusyjne trzeba było podzielić na zespoły dyskutujące w jednym zasadniczym języku).

Te „warsztaty" miały wielkie znaczenie, gdyż pozwalały na wymianę doświadczeń, niemożliwą na plenum, a także na zajęcie wspólnego stanowiska w pewnych zasadniczych sprawach.

KOŚCIÓŁ MILCZENIA

Sprawy Kościoła prześladowanego były na drugim kongresie postawione daleko mocniej niż na pierwszym. Delegacji emigracyjnych było dwanaście. Już w chwili otwarcia kongresu dokonano manifestacji w postaci umieszczenia po prawej ręce przewodniczącego, kosza czerwonych kwiatów symbolizujących puste miejsce przedstawiciela katolików zza żelaznej i bambusowej kurtyny. Jedyne posiedzenie publiczne kongresu poświęcono w połowie (przy czym była to „większa połowa", bo druga zajęło czysto krasomówcze wystąpienie słynnego kaznodziei, ojca Lombardi) sprawie Kościoła Milczenia. Doskonale opracowany z punktu widzenia doktrynalnego i formalnego referat wygłosił tu p. Dubois-Dumée, prezes konferencji międzynarodowych organizacji katolickich. Na otwarciu drugiej sesji parlamentarnej poproszono ks. arcybiskupa Gawlinę o odmówienie modlitwy wstępnej. Wreszcie w ostatnim dniu kongresu odbył się „dzień" regionalny Kościoła Milczenia z udziałem delegatów nie tylko z emigracji europejskiej i azjatyckiej, ale także różnych krajów zachodnich.

Z tym wszystkim wielu delegatów emigracyjnych uważało, że sprawa ich krajów nie znajduje należytego zrozumienia u pozostałych członków kongresu. Szczególnie dotknięci byli Ukraińcy, że p. Dubois-Dumée nie wspomniał ani słowem o prześladowaniu Kościoła unickiego i o męczeństwie biskupów ukraińskich. Poparł te żale gorąco w ostatnim dniu kongresu ks. arcybiskup Gawlina.

My Polacy byliśmy w dość szczególnej sytuacji. Do ostatniej chwili mieliśmy nadzieję, że przyjedzie delegacja z Polski. Wiedzieliśmy, że świeżo na zjeździe prasy katolickiej w Wiedniu była dość liczna delegacja polska, choć nie ma w Polsce związku dziennikarzy katolickich. Wiedzieliśmy, że bawi w tym momencie w Europie paru przedstawicieli jednej z grup katolickich, a mianowicie grupy „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego". Episkopat Polski miał prawo wyznaczyć delegację na kongres. Żadna delegacja nie przyjechała. Uświadomiliśmy sobie, że jednak, mimo wszystko, Polska należy nadal do Kościoła Milczenia.

Delegacja emigracyjna musiała nadal zastępować Kraj. Delegacja ta, właśnie między innymi w przewidywaniu przyjazdu reprezentacji krajowej, była znacznie mniej liczna niż przed sześciu laty. Było wszystkiego dziewięciu Polaków. Tym niemniej udział Polski nie był bez znaczenia.

Sekretarzem generalnym kongresu był p. Mieczysław Habicht, sekretarz stałej konferencji międzynarodowych organizacji katolickich. Organizatorem i szefem obsługi prasowej, filmowej, radiowej i telewizyjnej był prof. Andrzej Ruszkowski z Limy, sekretarz międzynarodowego komitetu filmu katolickiego. Przewodniczącym komisji redakcyjnej kluczowej uchwały kongresu, a mianowicie odpowiedzi na mowę Papieża, został przewodniczący delegacji polskiej, p. Jan Baliński-Jundziłł, prezes Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej. Na poszczególnych komisjach i grupach delegaci polscy zabrali głos. I tak o położeniu w Polsce mówili: na grupie językowej angielskiej —p. Baliński, francuskiej — ks. Kirschke, hiszpańskiej — dr Zaleski. O problemach młodzieży mówił w „warsztacie" angielskim p. Malkiewicz, o problemach szkoły w „warsztacie" francusko-włoskim — niżej podpisany. Organizacją grupy „Pax Romana" zajmował się sekretarz tego związku, p. Szmitkowski z Fryburga.

Uczestnicy kongresu mieli także możność nabycia literatury dotyczącej krajów prześladowania. Spore zainteresowanie wywołała książka „Dieu contre Dieu" (o paksistach). Zaprezentowano także dwa nowe wydania — angielskie i francuskie — podstawowego dzieła informacyjnego, „Czerwonej Księgi". Niestety w tych wydaniach, noszących datę r. 1957, sprawy polskie doprowadzone są tylko do roku 1954. Czytelnik nie dowie się nic z tego, co go najbardziej interesuje. Nie dowie się o niezwykłych wydarzeniach w życiu Kościoła polskiego, jakie zaszły w jubileuszowym Roku Maryjnym 1956/57. A przecież te wydarzenia posiadają znaczenie uniwersalne w sensie religijnym bardziej jeszcze niż w politycznym.

Wojciech Wasiutyński

J.E. KS. BISKUP KAROL PĘKALA W LONDYNIE

Celem nawiązania osobistych kontaktów z przedstawicielami charytatywnych organizacji katolickich w Stanach Zjednoczonych Ameryki wyjechał z Polski 12 b. m. — jako przedstawiciel ks. kardynała Wyszyńskiego oraz Komitetu Dobroczynności Episkopatu Polskiego — ks. biskup dr Karol Pękala, sufragan tarnowski. W drodze do Nowego Jorku Jego Ekscelencja zatrzymał się przez kilka dni we Francji, a następnie w Wielkiej Brytanii, skąd wyruszył do Ameryki w dniu 22 października z portu Southampton.

Ks. biskup Pękala był na początku roku 1947 kierownikem „Caritasu" diecezji tarnowskiej, a po otrzymaniu sakry biskupiej został dyrektorem tej instytucji na cały kraj, pełniąc to zadanie do czasu odebrania „Caritasu" z rąk Hierarchii kościelnej w Polsce. Jest to druga z kolei podróż ks. biskupa Pękali do Ameryki w sprawie pomocy katolików amerykańskich dla ludności w Polsce. Pierwszą odbył w roku 1947. Ks. Biskup przeprowadzi obecnie rozmowy z dyrektorami Catholic Relief Service — NCWC, z przedstawicielami Ligi Katolickiej dla Polski, a także z władzami Rady Polonii.

W Anglii dostojny gość bawił zaledwie kilka dni, w czasie których brał udział w nabożeństwach polskich: w dniu 20 października odprawił Mszę św. w kościele polskim na Devonii i wierni mieli możność wysłuchania w czasie tej Mszy św. pięknego kazania Jego Ekscelencji. Obecny też był na prymicyjnej Mszy św. w londyńskim kościele Brompton Oratory, gdzie zbierają się zawsze tłumy Polaków. Przyjęli oni z wielkim wzruszeniem skierowane do nich przemówienie Ks. Biskupa i przekazane im przez niego błogosławieństwo od Ks. Prymasa, a także pozdrowienia z Polski.

Dysponując kilku dniami ks. biskup Pękala znalazł jednak dość czasu na to, aby zwiedzić polski zakład szkolny dla dziewcząt, utrzymywany przez siostry nazaretanki w Pitsford, a także polskie gimnazjum męskie w Fawley Court, założone i prowadzone przez oo. marianów; był także w Polskim Ośrodku Wydawniczym „Veritas", okazując dużo zainteresowania dla wszystkich jego działów i prac.



PIERWSZY BISKUP Z POLSKI na „Praed Mewsie". J. E. ks. biskup dr Karol Pękala odwiedził Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" i zapoznał się z jego działalnością. Na zdjęciu (od lewej): ks. infułat B. Michalski, ks. prałat W. Staniszewski, asystent kościelny Fundacji „Veritas", J. E. Ksiądz Biskup, red. J. Kisielewski, red. J. Bielatowicz, kierownik Działu Wydawniczego.

Z KRAJU

ZWIĄZKI ZAWODOWE W POWOJENNEJ POLSCE

Organizacja Związków Zawodowych w Polsce powojennej oparta została na ustawie z 1 lipca 1949 roku, w której postawiono na czele dwie zasady: **jedności i centralizacji.** Zasada pierwsza przewidywała jedną tylko organizację zawodową dla wszystkich pracowników, bez względu na rodzaj ich pracy, zaś według zasady drugiej wszystkie związki tak zwane branżowe, obejmujące pracowników pewnych określonych zawodów, nie mogły mieć własnych centralnych zarządów, jako że jeden miał być tylko zarząd główny związków, tak jak jedna jest tylko partia polityczna pod władzą komunistyczną. Co więcej, związki zawodowe miały być właśnie awangardą tejże partii, najskuteczniejszą i największe rokującą nadzieje szkołą komunizmu. Zadaniem ich poza tym było zmobilizowanie klasy pracującej pod hasłem większej wydajności pracy i rozwinięcie tak zwanego socjalistycznego wpółzawodnictwa przy każdym warsztacie pracy. Wszystkie wyszczególnione w ustawie cele mówiły o jednym, że partia chce przez związki zawodowe wywierać wpływ swój na pracownika. Nie było natomiast w tej ustawie miejsca na ochronę interesów człowieka pracy, na jego obronę prawną, na regulowanie systemu pracy i płacy. O tych zadaniach naczelnych wszystkich związków zawodowych na świecie — w ustawie wydanej w Polsce w dniu 1 lipca zupełnie zapomniano.

Wiemy wszyscy o tym, że robotnicy polscy potrafili w większości wypadków obronić się przed wpływami ideologicznymi szerzonymi przez gorliwych funkcjonariuszy związków zawodowych. Rola związków ograniczyła się więc raczej do wyciskania z robotników coraz to większej wydajności produkcyjnej.

Wprowadzony we wszystkich gałęziach pracy system akordowy został wyzyskany do współzawodnictwa zarówno między poszczególnymi robotnikami jak i grupami robotników. Niska stopa życiowa ułatwiała wprowadzenie systemu stachanowskiego, bo tylko tą drogą mógł robotnik zarobić tyle, żeby starczyło na skromne utrzymanie rodziny. Poza tym, związki zawodowe organizowały co roku różne, tzw. specjalne zobowiązania: na 1 maja i 22 lipca, na dzień urodzin Stalina i Bieruta, z okazji zjazdów partii, kongresów pokoju i festiwalów.

Wykonywania tych zobowiązań pilnowały Rady Zakładowe, złożone ze stuprocentowych komunistów. One też spełniały na terenie zakładów funkcje organów policyjnych, pilnując ścisłego przestrzegania dyscypliny pracy. To Rady Zakładowe, jako reprezentacja związków zawodowych, odpowiadały za wykonanie przez zakład pracy planu sześcioletniego, a jeżeli przy istniejących niskich płacach i słabym odżywianiu robotników — potrafiły z tego zadania dobrze się wywiązać, to działo się to oczywiście kosztem zdrowia klasy pracującej.

W dziedzinie ulepszenia warunków pracy nie wykazały Rady Związkowe żadnej troski ani inicjatywy, nie zrobiły pod tym względem absolutnie nic.

W maju 1954 roku III Zjazd Związków Zawodowych uchwalił nowy statut, który obowiązuje do dzisiaj. W statucie tym znalazł się wprawdzie paragraf stwierdzający, iż obowiązkiem związków jest bezustanne troszczenie się o poprawę warunków życiowych robotników, o bezpieczeństwo i higienę pracy, a także o zapewnienie robotnikom odpowiednich warunków mieszkaniowych, ale paragraf ten pozostał nadal martwą literą. Związki zawodowe są też nadal narzędziem polityki partyjnej, odpowiadającym przed partią za „wychowanie mas pracujących na świadomych budowniczych socjalizmu". Poza tym miały one — oczywiście — pilnować w dalszym ciągu, aby plany były na czas wykonane i „chlubnie" przekraczane. Robiły co mogły, aby tego dokazać. To pod ich ścisłym nadzorem i presją i l o ś ć pobiła j a k o ś ć w zakładach pracy i to pobiła ją w sposób katastrofalny, rodząc panoszące się obecnie i trudne już do wyplenienia p a r t a c t w o, tak obce dotychczas naturze polskiego robotnika.

Wypadki poznańskie ujawniły w pełni, jaką haniebną rolę odegrały w Polsce komunistyczne związki zawodowe.

Okazało się, że nie tylko u „Cegielskiego" w Poznaniu, ale i w całej Polsce masy pracujące wywiązały się z zadań na nie nałożonych, wykonały plany roczne i plan sześcioletni. Za to związki zawodowe w ciągu

całych sześciu lat ani razu nie wystąpiły w obronie praw robotniczych. Gdy np. w grudniu 1955 roku Minc opierając się na zwiększeniu sumy płac, wynikłej ze zwiększenia liczby pracowników, usiłował wmówić robotnikom, że otrzymali 27% podwyżki, wówczas związki zawodowe nie sprostowały nawet tego oczywistego fałszu. Los pracownika był im zawsze obcy. Toteż robotnicy poznańscy wysłali do Warszawy własną delegację, pomijając całkowicie związki zawodowe.

Samokrytyka Kłosiewicza. W dniu 2 sierpnia 1956 roku odbyło się posiedzenie Centralnej Rady Związków Zawodowych, na którym Kłosiewicz przyznał, że „wydarzenia poznańskie wykazały słabość organizacji związków zawodowych oraz zupełny brak znajomości potrzeb klasy pracującej, związki zawodowe utraciły kontakt z masami". — Ale — wołał tenże Kłosiewicz — to oni (tj. poprzedni rząd) są temu winni, bo cała polityka płac była w rękach organów państwowych. Przyznał, że związki zawodowe miały rolę poganiacza, a nie obrońców klasy pracującej.

W trzy miesiące później, tj. 16 listopada 1956 roku odbyła się IX sesja Centralnej Rady Związków Zawodowych, na której Kłosiewicz usiłował uniknąć krytyki, wysuwając jako sprawozdawcę swego zastępcę Kuleszę. Zebrani odrzucili jednak jego sprawozdanie i zażądali osobistego stawienia się Kłosiewicza, po czym, już w jego obecności, powiedzieli otwarcie co sądzą o Centralnej Radzie. Tak np. Słonimski, delegat Żerania, stwierdził że 70% personelu Centralnej Rady Związków Zawodowych składa się z obijaczy i pisarków, przygotowujących dygnitarzom tejże Centralnej Rady wyjazdy za granicę. Jeżdżą oni — wołał Słonimski — do Bułgarii po kurtki futrzane, do Czech po trzewiki a do Rosji po motocykle. Sam Kłosiewicz — wołał dalej Słonimski, wskazując bezceremonialnie palcem na prezesa — interesował się tylko „Mercedesami", willami i płaceniem czynszów za członków Centralnej Rady.

W rezultacie całe prezydium musiało ustąpić, a prezesem został Loga-Sowiński. Lecz pamiętajmy, że działo się to w gorącym okresie październikowym, kiedy zdawało się jeszcze, że prawo i sprawiedliwość naprawdę zwyciężą.

W tym samym okresie, bo 26 września 1956 roku Leszek Goliński rozpatrywał w „Przeglądzie Kulturalnym" na co idą fundusze związków zawodowych. Wyliczył on czarno na białym, że 200 płatnych funkcjonariuszy związków zawodowych zajmuje się „robieniem kultury", że związki utrzymują około 10 tysięcy różnych placówek „kulturalnych", na które państwo łoży rocznie 170 milionów złotych. A kto z tego korzysta? Ile ma z tego robotnik?

Budżet zredukowano z 368 milionów do 332 milionów złotych. Wydatki na kształcenie aktywistów zredukowano do jednej czwartej. A poza tym? Czy zaszły jakieś istotne zmiany na korzyść robotników? Czy w strajkach, wybuchających tu i tam w Polsce, i prędko siłą tłumionych, robotnicy mają teraz jakieś poparcie związków zawodowych?

Wiadomo, że w czasie debaty budżetowej w sejmie w dniu 25 kwietnia bież. roku zabrał głos Piotr Gajewski, który jest obecnie zastępcą Logi-Sowińskiego, przewodniczącego Centralnej Rady Zw. Zawod. Oświadczył on, że postulaty robotników, poparte rezolucjami na zebraniach masowych, a często strajkami, podważają gospodarkę narodową i przynoszą szkodę samej klasie robotniczej. Dlatego — zadeklarował Gajewski — związki zawodowe są przeciwne kategorycznym żądaniom o podwyżkę płac.

Są przeciwne, a więc nie popierają. I nie tylko to, ale nie prowadzą nadal żadnej akcji, która by prowadziła do poprawienia losu pracowników, do podwyższenia ich zarobków. Bo gdyby taka akcja była prowadzona, to pełno by o niej było w prasie. Byłaby o tym też mowa na zebraniu Centralnej Rady, które odbyło się w sierpniu bież. roku. Ale na zebraniu tym mówiło się o wszystkim innym tylko nie o poprawieniu bytu pracownikom. Gdy dr Tomaszewski z Łodzi poruszył sprawę niskich płac pielęgniarek szpitalnych, zarabiających mniej niż sprzątaczki, zebrani przeszli nad tym szybko do porządku, przystępując do kwestii — ich zdaniem — bardziej ważnych i pilnych, a mianowicie do wyboru delegacji na obchód 50-lecia związków zawodowych w Sowietach, a potem do wybrania drugiej delegacji na IV Światowy Zjazd Związków Zawodowych, który obradował w październiku w Lipsku. Do Lipska wybrano aż 26 delegatów, do Moskwy — 25.

Wygląda więc na to, że wszystko idzie po dawnemu: zjazdy i zadania dyktowane przez partię, a nie przez potrzeby świata pracy. Ale po co w takim razie mówić o zmianach na lepsze i po co wprowadzać w błąd opinię świata nadawaniem nazwy związków zawodowych organizacji, która tak niewiele ma wspólnego z obroną spraw takiego czy innego zawodu w Polsce?

A. Z.

OBRAZ SYTUACJI GOSPODARCZEJ W POLSCE W UJĘCIU SPRAWOZDAWCY SEJMOWEGO

Ostatnio na sejmowej komisji planu gospodarczego, budżetu i finansów przewodniczący komisji planowania min. Jędrychowski, oraz min. skarbu Dietrich złożyli obszerne sprawozdanie, zapoznając posłów z obecną sytuacją gospodarczą.

Oto ciekawsze dane z tych sprawozdań:

W ciągu dziewięciu miesięcy tego roku przemysł wykonał plan w przeszło 106% i prawie wszystkie zakłady produkcyjne przekroczyły swe zadania. W ostatnich natomiast miesiącach zanotowano spadek produkcji w kopalniach rud, w hutnictwie, w produkcji papieru i celulozy, tkanin bawełnianych i materiałów budowlanych. Ogólny wzrost produkcji wyniesie 8-9% w stosunku do ubiegłego roku.

Dobrze — zdaniem sprawozdawców — przedstawia się sytuacja w rolnictwie: Tegoroczne zbiory zbóż są wyższe o około 400.000 ton od zbiorów zeszłorocznych. Przeciętny zbiór z hektara był o jeden kwintal większy niż w ubiegłym roku i nieco większy niż w roku 1955, pomimo, że dwa te lata były oceniane jako bardzo urodzajne. Dobrze zapowiadają się podobno zbiory buraków cukrowych, tak że w tym roku można będzie wyprodukować milion ton cukru.

Sprawozdawcy podają dalej, iż w ciągu 8 miesięcy tego roku wypłacono chłopom z tytułu dostaw o 7 miliardów złotych więcej niż w tym samym okresie roku ubiegłego. Skup przebiega na ogół pomyślnie, nie są jedynie w pełni realizowane dostawy obowiązkowe, zwłaszcza żywca. W bieżącym roku wieś zakupiła towarów za 32 miliardy złotych, co stanowi wzrost o 20%, w porównaniu z rokiem ubiegłym. M. in. chłopi kupili dwukrotnie więcej materiałów budowlanych, znaczne ilości maszyn rolniczych oraz artykułów odzieżowych.

Tu następuje jedno z najciekawszych oświadczeń. Jędrychowski oznajmił, iż rząd nie zamierza bynajmniej rezygnować z zamiaru stopniowej likwidacji dostaw obowiązkowych. Na to jednak, by całkowita likwidacja mogła nastąpić już teraz, nie ma jeszcze w obecnej chwili warunków. Charakteryzując w dalszym ciągu obecną sytuację gospodarczą Jędrychowski zwrócił uwagę na istniejące w tej chwili stałe zagrożenie równowagi między masą towarową i wzrostem siły nabywczej ludności. Jego zdaniem jest to rezultat nadwyżek plac w roku ubiegłym i w pewnej mierze regulacji płac przeprowadzonej w tym roku. W porównaniu do roku ubiegłego płace wzrosły o ponad 12 miliardów złotych, czyli o 18%, w roku ubiegłym kształtowały się one przeciętnie na wysokości 1058 zł., a w roku bieżącym przeciętna płaca wyniosła 1253 złotych.

Kończąc ocenę gospodarczej sytuacji, sprawozdawca zaznaczył, iż przy wszystkich trudnościach istnieją momenty optymistyczne. W chwili obecnej uzyskano pewien wzrost masy towarowej, poprawiono dyscyplinę finansową, dyscyplinę pracy oraz ograniczono tendencje do zniżania planów produkcyjnych. Jeśli idzie o budżet państwowy — min. Dietrich stwierdził, że budżet na rok bieżący został zrównoważony dzięki obcięciu wydatków na obronę narodową i inwestycje oraz dzięki „pomyślnym wynikom negocjacji ze Związkiem Radzieckim". Jednakże uzyskana równowaga budżetowa może się okazać równowagą chwiejną z uwagi na obciążenia budżetu pochodzące z lat poprzednich. Sytuacja ta wymagała od czynników rządowych różnorodnych kroków dla utrzymania równowagi finansowej w Kraju.

Dietrich stwierdził dalej, że obecnie pomyślnie przebiega realizacja budżetu. Przewiduje się poważny wzrost dochodów budżetowych, co pozwoli na pokrycie poczynionych w tym roku nie planowanych pierwotnie wydatków, oraz na pokrycie zadłużeń, które przeszły z lat ubiegłych na rok bieżący.

Ministerstwo przemysłu spożywczego zamierza zwiększyć produkcję towarową w przyszłym roku o blisko 3 miliardy złotych. Wartość towarów konsumpcyjnych, które zostaną rzucone na rynek osiągnie kwotę 66 miliardów złotych. Przewiduje się, że ilość mięsa z uboju wzrośnie w porównaniu z rokiem bieżącym o około 60.000 ton, mleka o około 200 milionów litrów, a jaj o 70 milionów sztuk. O przeszło 30.000 ton zwiększone zostaną dostawy na rynek tłuszczów wieprzowych. Wzrośnie produkcja kompotów, jamów, konserw jarzynowych i słodyczy.

W ciągu 8 miesięcy obroty handlu zagranicznego wyniosły 5 miliardów 486 milionów rubli dewizowych. Na pokrycie importu w tym okresie wydano 3 miliardy 40 milionów rubli.

Wartość eksportu wyniosła 2 miliardy 446 milionów rubli. Podstawowym zadaniem handlu zagranicznego na przyszły rok jest osiągnięcie równowagi między eksportem a importem, oraz częściowe spłacenie kredytów krótkoterminowych.

WYPADEK W STOSIE ATOMOWYM

Stosy atomowe — jeśli uwzględnić pierwszą wytwórnię plutonu w Stanach Zjednoczonych — pracują już ponad 15 lat. Ilość ich wzrasta nieustannie. Wielkie i małe, doświadczalne i przemysłowe, wojskowe i cywilne, pracują już w wielu krajach. A pomimo to było dotąd tylko cztery wybuchy w stosach, jeden w Chalk River, w Kanadzie, w dniu 12 grudnia 1952 roku, dwa wybuchy próbne, umyślnie wywołane w Stanach Zjednoczonych w latach 1955 i 1957, a wreszcie najnowszy „wybuch", jeśli go tak nazwać wolno, w angielskiej wytwórni plutonu w Windscale, w dniu 10 października.

Nie był to właściwie wybuch. Jak to było dokładnie, dowiemy się dopiero, gdy wyznaczona w pięć dni po wypadku komisja badawcza zakończy swe prace. Jak dotąd wiemy tylko, że z niewyjaśnionych, a może nawet i nieznanych dotąd przyczyn, w jednym ze stosów temperatura w kilku prętach ze zwykłych 390° C. wzrosła nagle do 600° C. W temperaturze tej, bliskiej już punktowi topliwości glinu (aluminium), z którego wykonane są pochewki oddzielające uran od chłodzącego go powietrza, izolacja była już niedostateczna i uran począł się utleniać, lub też — mówiąc językiem nie-technicznym — palić. Wytworzona w ten sposób wysoka temperatura spowodowała ulatnianie się produktów rozszczepienia uranu, z których zwłaszcza jeden, jod promieniotwórczy, jest bardzo lotny. W rezultacie kominy stosu, choć zaopatrzone w filtry, nie były zdolne — jak to zwykle czynią — zatrzymać tych niebezpiecznych składników popiołów promieniotwórczych. A choć wysokość kominów wynosi 400 stóp, prąd gorącego powietrza był tak silny, że uniósł ze sobą te groźne popioły na dużą wysokość. Na szczęście ten wzrost temperatury zaobserwowano dość wcześnie tak, że prawdopodobnie dwa tylko pręty uranowe rozgrzały się do czerwoności. Przy tym panujące dnia tego wiatry znosiły dymy z wytwórni głównie w kierunku morza, tak że tylko stosunkowo nieznaczna ich część opadła na ląd.

Prace nad opanowaniem wypadku rozpoczęły się natychmiast. Ponieważ przerwanie pracy stosu nie obniżyło dostatecznie jego temperatury, więc następnego dnia zaczęto polewać go wielką ilością wody. Woda ta ściekała do morza na takiej głębokości, że i tak stosunkowo mała jej promieniotwórczość nie stanowiła już żadnego niebezpieczeństwa. Równocześnie zaczęły się badania możliwej przyczyny wypadku. Widocznie dać one musiały wynik pomyślny, skoro prace w drugim stosie, który natychmiast zamknięto, gdy zaszedł wypadek w stosie pierwszym, po kilku dniach wznowiono. W kilka dni później, w dniu 18 października, został on, co prawda, zamknięty z powrotem, ale nie ze względu na niebezpieczeństwo, a jedynie, ażeby umożliwić prace komisji badawczej.

Równocześnie stała służba, badająca promieniotwórczość okolic stosu, rozpoczęła wzmożone analizy. Zbadano wodę, glebę, trawę i inne rośliny, powietrze, mleko krów, a nawet jajka znoszone przez kury. W wyniku tych badań odwołano alarm, zarządzony ze względów bezpieczeństwa natychmiast po wypadku, a polegający na zakazie — lub raczej ostrzeżeniu — przed wychodzeniem z domu bez koniecznej potrzeby, i to w dość dużym promieniu od miejsca wybuchu, na obszarze prawie 400 mil kwadratowych. Okazało się bowiem, że stopień promieniotwórczości w tej okolicy jest tak mały, że nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Również i pracownicy stosu, którzy w chwili wypadku byli w jego pobliżu, nie odnieśli żadnej szkody. Woda do picia okazała się zupełnie bezpieczna, a jedynym prawdziwym niebezpieczeństwem był tylko jod promieniotwórczy. Ponieważ organizm ludzi i zwierząt pochłania jod bardzo selektywnie, toteż zawartość jego w mleku krów była wyższa, niż normalna. Nakazano więc 400 farmom, mieszczącym się na tej przestrzeni, aby mleko wylewały do zlewu, nie używając go ani dla ludzi, ani dla karmienia bydła. Na szczęście jednak promieniotwórczy jod 131 ma okres rozpadu w ciągu 8 dni, tak że po tym czasie aktywność jego spada do połowy, a po 16 dniach — do ćwierci aktywności pierwotnej. Za tydzień, dwa, poziom promieniotwórczości jodu w mleku spadnie więc poniżej dozy niebezpiecznej i mleko stanie się znów zdatne do użytku.

Drugim niebezpieczeństwem jest stront promieniotwórczy, ale ilość jego w glebie po wypadku okazała się grubo poniżej granicy niebezpieczeństwa, a obfite deszcze, które spadły w dniu 16 października, zredukowały i tę znikomą ilość.

Jedyną więc prawdziwą i długotrwałą szkodą jest zamknięcie stosu, w którym zaszedł wypadek. Uszczupla ono bowiem do połowy produkcję plutonu, podstawowego surowca bomb atomowych i zapłonników bomb wodorowych, stanowiąc dość poważną szczerbę w programie wojskowym Anglii. A uruchomienie ponowne stosu wymagać będzie czasu. Należy bowiem nie tylko oczyścić z pozostałości promieniotwórczych dwa przewody w graficie, w których zaszedł wypadek, nie tylko osuszyć stos, ale ponadto usunąć wszelkie ślady, jakie woda pozostawiła, a zwłaszcza wapń, którego najmniejsze nawet ślady poważnie obniżają wydajność stosu. Kto wie czy w ostatecznym obrachunku zburzenie tego stosu i wybudowanie nowego, oczywiście bardziej nowoczesnego, nie okaże się tańsze i szybsze.

Wypadek ten nasuwa oczywiście pytanie, czy coś podobnego nie może się zdarzyć i w innych stosach, jak np. Calder Hall, o mocy znacznie większej, a więc i o większym potencjalnym niebezpieczeństwie. Otóż należy w pierwszym rzędzie pamiętać, że stos w Windscale planowano przeszło dziewięć lat temu, gdy nasze wiadomości o procesach zachodzących wewnątrz stosów były znacznie mniejsze. A jednak pomimo to, pierwszy wypadek zaszedł w nim dopiero po przeszło siedmiu latach jego pracy.

Ponadto stosy współczesne są chłodzone nie powietrzem, jak stos w Windscale, ale dwutlenkiem węgla, jak stos w Calder Hall i nowowybudowane stosy angielskie, lub też ciekłymi chłodziwami. Wszystkie te chłodziwa nie reagują z uranem i tym samym nie mogą spowodować wypadku nawet, gdyby z jakichś przyczyn temperatura stosu miała wzrosnąć. Ponadto samoczynne urządzenia bezpieczeństwa nowoczesnych stosów są znacznie doskonalsze niż w Windscale, toteż prawdopodobieństwo ich zawodu jest znacznie mniejsze.

Wreszcie należy zauważyć, że i wypadek w Windscale był znacznie mniej szkodliwy w skutkach, niż gdyby coś podobnego zaszło np. w wytwórni materiałów wybuchowych. W Windscale nie było ani jednej ofiary ludzkiej, nawet nikogo uszkodzonego, lub też chorego wskutek wypadku. Cała szkoda dla otoczenia polegała na przykrości wylewania wielkiej ilości galonów mleka dziennie do zlewów: strata czysto materialna, łatwa do skompensowania. W fabryce materiałów wybuchowych wypadek podobny byłby spowodował wielką ilość wypadków śmierci, pokaleczeń i poparzeń. A zapoczątkowany wybuchem pożar mógłby być, przy odpowiednim wietrze, niebezpieczny dla sąsiedztwa.

Z tego porównania widać więc, że stosy atomowe nie są bynajmniej niebezpieczne ani dla zatrudnionych w nich pracowników, ani też dla otoczenia. Ilość wypadków jest zdumiewająco mała, a żaden z nich nie okazał się w swych skutkach groźny. Wbrew więc panice, jaką zawsze łatwo rodzi nieznane i nowe, epoka atomowa, nie tylko że nie zwiększa niebezpieczeństwa wypadków przemysłowych, ale je poważnie pomniejsza.

T. F.

ZNALEZIONO POZOSTAŁOŚCI WYPRAWY SCOTTA

Grupa uczonych nowozelandzkich natrafiła na świetnie zachowane przedmioty, pozostawione przez antarktyczną wyprawę kapitana Scotta z lat 1910-12. Znaleziono je na Przylądku Robertsa, o sto mil od bazy Scotta nad cieśniną McMurdo.

Wśród znalezionych przedmiotów znajduje się ekwipunek pozostawiony tam przez prof. Franka Debenhama, który był geologiem wyprawy Scotta i dokonywał prac kartograficznych tej części Antarktydy.

Prof. Frank Debenham jest obecnie dyrektorem Polarnego Instytutu Badawczego imienia Scotta przy uniwersytecie w Cambridge, którego był też i założycielem. Profesor ma obecnie 74 lata.

Na wiadomość o znalezieniu przypomniał sobie, że istotnie zostawił część ekwipunku, ale nie pamięta dokładnie co to było. Przypuszcza, że nie mogło to być jednak nic specjalnie ważnego, gdyż zasadnicze przyrządy pomiarowe musiał mieć przy sobie przez cały czas wyprawy. Prawdopodobnie są to worki na filmy, które musiał porzucić ze względu na ich ciężar, gdy spieszył na statek, który miał odpłynąć w ściśle określonym terminie.

LAMUS SERDECZNY

POSTAĆ ŚMIERCI

Napisał MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

Kościotrup zaopatrzony w kosę i klepsydrę, szczerzący z nagiej czaszki resztki zębów, stosunkowo od niedawna uosabia śmierć. W starożytności w ogóle nie znano jej kształtu. Władali nią bogowie podziemi: ciemna piękność Persefona i jej ponury mąż Hades. Płynęła w czarnych wodach Acheronu i Styksu, służył jej milczący przewoźnik Charon i mściwe córki Persefony Erynie. Życie pozagrobowe traktowano jako zło konieczne i wolano się nim nie zajmować. Dla ceniących uciechy życia Greków los zmarłych błąkających się bezczynnie w krainie cieniów musiał być godny pożałowania. Pełne goryczy i żalu słowa wypowiedziane przez ducha Achillesa do Odysa w podziemiu, najtrafniej ten stosunek ilustrują.

Dopiero chrześcijaństwo przyniosło w Europie zmianę stosunku do życia pozagrobowego, a równocześnie wzbudziło zainteresowanie nim. Literatura i sztuka średniowieczna najlepszym jest tego odzwierciedleniem. Antyczne pochwały życia ustępują miejsca obrazom jego znikomości, czego dobrym przykładem może być traktat Innocentego III „De miseria conditionis humanae" z końca wieku XII.

Od wieku XIII szerzą się łacińskie poematy typu „Vado mori", przyjmujące z czasem formę dialogu między żywymi i umarłymi, którzy ciągną pierwszych do makabrycznego tańca. Ciekawe, że ojczyzną „tańców śmierci" — tego typowego zjawiska mistycznej kultury późnego średniowiecza, zarówno w poezji jak w plastyce, jest Francja, a nie skłonne do ponurości krainy germańskie. To z Francji pochodzi najwcześniejszy znany tekst łaciński o tej treści oraz pierwszy przekład (Jehana Lafevre z 1376 pt. „Respit de la mort") oraz najwcześniejsze plastyczne ujęcia „tańca", np. w opactwie La Chaise-Dieu w Auwernii lub na ścianach kostnicy z paryskiego cmentarza franciszkanów (zachowane tylko w formie drzeworytów Guyot Marchanda z 1485 r.). Wczesne malowidła tego typu przedstawiają umarłych, ale nie kościotrupy. „Taki trup czyni wrażenie bardziej odrażające, aniżeli sam szkielet, zdaje się on jeszcze żyć strasznym życiem. Te larwy tańczące, skaczące na jednej nodze, z wykrzywioną twarzą, odziane w białe prześcieradła, zakrywają swą płeć, której są już pozbawione..." — pisze Emil Mâle w „L'Art religieux de la fin du Moyen Age..."

Jeden z najciekawszych zabytków polskiej poezji średniowiecznej „Rozmowa mistrza ze śmiercią" daje przeraźliwie realistyczny opis takiej właśnie upersonifikowanej śmierci:

„Użrzał człowieka nagiego
Przyrodzenia niewieściego,
Obraza wielm' skaradnego,
Łoktuszą przepasanego.
Chuda, blada, żółte lica,
Leści sie, jako miednica
Upadł-ci jej koniec nosa,
Z oczu płynie krwawa rosa.
Przewiązała głowę chusta,
Jak samojedź krzywousta,
Nie było warg u jej gęby,
Poziewając, skrżyła zęby.
Miece oczy, zawracając,
Grożną kosę w ręku mając."

Inwazja szkieletu następuje dopiero pod koniec XV wieku, czyli już u schyłku średniowiecza. Poza mnożącymi się malowidłami popularyzuje ją i rozpowszechnia wczesna rycina, której typowym przykładem jest drzeworyt M. Wolgemuta z 1494 roku, mistrzowsko łączący w sobie przeraźliwość z groteską.

Tymczasem jednak godziny makabrycznego tańca zdawały się być policzone. Wschodziło już bowiem półpogańskie słońce renesansu z jego kultem życia i lżona przez Innocentego III uroda ludzkiego ciała coraz natrętniej dopominała się o swoje prawa.

Oczywiście nie jest tak łatwo zapomnieć o czymś, co nieuchronnie czeka każdego z nas. Dlatego i w sztuce renesansu wraca postać śmierci, ale w formie jakby złagodzonej: u Dürera przyjmuje kształt króla, u Bohema — błazna, a u Burgmajera — zalotnika. Nie widzimy jej wcale na grobowcach Medyceuszów rzeźbionych przez Michała Anioła. Przeczuwamy zaledwie jej obecność w melancholijnym pięknie półleżących postaci. Cisza, zadumanie, powaga, ale ani cienia ohydy, zgnilizny, rozpadu. Wczesnobarokowy aniołek dłuta Mikołaja Blasset zdobiący grobowiec kanonika Łukasza z katedry w Amiens, opiera się wprawdzie na czaszce i klepsydrze, ale sam jest w swym rozbrajającym uroku zaprzeczeniem grozy i okropności tańczących szkieletów.

W pięknych, aż może nazbyt retorycznie doskonałych, wersetach trenów Kochanowskiego śmierć, zgodnie z modą owego czasu najczęściej przybiera klasyczną postać Persefony. Nieutulony w żalu ojciec woła do niej:

„...O znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!"

Wraz z tryumfem baroku wraca do literatury i plastyki wygnany przez renesans kościotrup. Cwałującego po polach bitewnych, heroicznego i krwawego wieku siedemnastego, utrwalił wybitny włoski grafik tego czasu Stefano della Bella.

W sztuce polskiej tego czasu obraz śmierci zjawia się coraz częściej. W początkach XVIII wieku pojawia się też w naszej plastyce po raz pierwszy motyw tańca śmierci w swej — chciałoby się powiedzieć — „klasycznej" postaci. Najwcześniejsze, (lub ściślej — najwcześniejsze ze znanych) malowidło tego rodzaju, znajduje się w kościele oo. bernardynów w Krakowie.

Czternaście medalionów (zaopatrzonych w objaśniające czterowiersze) przedstawiających kościotrupy tańczące z przedstawicielami różnych stanów (zaczynając od cesarza i papieża, a kończąc na kmieciu i Żydzie) otacza scenę środkową, gdzie na przemian żywi i umarli tworzą taneczny krąg. Dzieło to jest ciekawe i cenne nie tylko jako pierwszorzędny przyczynek do dziejów obyczaju, ale również i z artystycznego punktu widzenia. Przy tym zasługują na uwagę niesłusznie lekceważone przez monografa zabytku, Józefa Muczkowskiego, czterowiersze. Naiwność ładnie się w nich łączy z urokiem wyrażonym wcale zgrabną formą:

KRÓL:
„Dałbym Berło y z Koroną,
By mię Stańca Uwolniono.
O? nader przykre niestety
Które śmierć skacze Ballety."
PAPIEŻ:
„Trzem koronom nie wybaczysz
W taniec z sobą prosić raczysz.
Muszę z tobą choć nie mile
Zażyć takiej Krotochwile."

Malowidło krakowskie trafiło widać na żyzny grunt wyobraźni, bo mnożą się jego swobodne naśladownictwa po całym niemal obszarze Rzeczypospolitej: w Kalwarii Zebrzydowskiej (z 1769 r.), w Czerniakowie pod Warszawą, w Grodnie. Wysunięto nawet, acz nieśmiało, przypuszczenie, że „taniec" grodzieński natchnął ks. Józefa Bakę do napisania poematu „Uwagi śmierci niechybnej" (Wilno, 1766). Utwór ten doczekał się dziwacznej sławy: uznano go za najlepszy przykład zdziczenia literatury polskiej w czasach saskich. W czterdzieści lat po pierwszym wydaniu ukazał się przedruk, staraniem Rajmunda Korsaka, z jego własnym ironicznym wstępem wypełnionym płaskimi drwinami z „Uwag" i ich autora, w czym godnie mu sekunduje Leon Borowski, autor „Dedykacji". Korsakowy żart zyskał złośliwe powodzenie i książeczka doczekała się licznych wydań. Wielu historyków literatury powtarzało negatywny i drwiący sąd o ks. Bace i jego poezji nie popierając go dostatecznymi argumentami, a za to szafując obficie wątpliwej naukowej wartości epitetami w rodzaju: „...wiersze à la Baka oznaczają głupie wiersze i słusznie..." (Chrzanowski). „Jego (Baki) wierszydła..." (Krzyżanowski), „dla nas te krótkie, urwane niby, wierszydła, tylko pośmiewiskiem..." (Brückner).

Dopiero wnikliwy, jak zwykle, Wacław Borowy w swej książce „O poezji polskiej w wieku XVIII" oddał dziełu Baki sprawiedliwość podkreślając, że dużo w nim szczerej poezji, a obok rubaszności — mądrej powagi.

W istocie utwór Baki realizuje wyjątkowo udatnie ten sam rodzaj dzieła artystycznego, co „tańce śmierci", używając zresztą identycznych środków artystycznych, transponowanych tylko (i to bardzo trafnie) z dziedziny plastyki w świat poezji. Nawet sama forma urywanych, krótkich, jakby półwierszy, poparta pozornie niewybrednym, a jędrnym słownictwem, doskonale odpowiada efektowi makabrycznych poglądów:

„Śmierć matula
Nas przytula
Głaszcze, wabi,
aż zadłabi."

Można zarzucić autorowi naiwność, trudno mu jednak odmówić dużej dozy słuszności, gdy w tanecznym rytmie wyraża średniowieczny, pesymistyczny pogląd na życie doczesne:

„Z pism wiecie:
Źle na świecie!
Życie wojna
Niespokojna.
Ciało kat
Świat psu brat."

Zebrawszy pewną ilość materiału dla zilustrowania zmian, jakie zachodziły w stosunku europejskich plastyków i poetów do problemu śmierci na przestrzeni wieków, nie miałem oczywiście zamiaru wyczerpać tematu oraz uwzględnić licznych wyjątków. Szkic mój z konieczności upraszcza obraz — w istocie bardzo zagmatwany, sprowadzając go do kształtów najbardziej konturowych. Dla przykładu: twierdzenie o braku plastycznego przedstawienia śmierci w starożytności podważyć by można przypomnieniem srebrnego kościotrupa na uczcie Trymalchiona. Również łatwo kwestionować „złagodzenie" formy, przedstawiania śmierci w okresie renesansu przykładem jednej ze scen „Sądu Ostatecznego" Michała Anioła, albo słynnego „Tryumfu Śmierci" Piotra Bruegla, gdzie nie pojedyńcze kościotrupy, ale całe ich armie dopełniają ponurego zwycięstwa nad brutalnie oderwaną od beztroskiej zabawy ludzkością.

Wszelkie wyjątki jednak nie zaprzeczają zmiennemu stosunkowi Europejczyków w różnych okresach rozwoju kultury do tak istotnego problemu jak zagadnienie śmierci. Zjawisko to zdaje się występować wyjątkowo jaskrawo w plastyce i poezji — dlatego te właśnie dziedziny twórczości artystycznej służyć mogą za wymowną ilustrację zmian. Zależność owych zmian (jak i całej kultury) od religii i moralności jest oczywista. Stosunek starożytności do śmierci dyktowało tu pogaństwo i wytworzony przez nie światopogląd, jak w średniowieczu — chrześcijaństwo. Renesansowa skłonność do syntetyzowania elementów chrześcijańskich z pogańskimi znajduje w sztuce wyraźny oddźwięk. Wreszcie w powrotnym docenianiu znaczenia śmierci i znikomości życia w sztuce i literaturze XVII i XVIII wieku łatwo dopatrzyć się ducha potrydenckiego.

Oświecenie starało się odwrócić ludzką uwagę od wiekuistego problemu umierania, skłaniając człowieka do podziwiania rozumu. „Mędrcom" tego najnaiwniejszego chyba ze wszystkich okresów ludzkiej myśli wydawało się, że rozum może pokonać wszelkie trudności, rozwiązać problemy, zaspokoić pragnienia. Pokonanie śmierci zdawało się być tylko kwestią czasu. Aż nazbyt prędkiemu rozczarowaniu towarzyszył wzrastający niepokój bytu, który przerodził się w lęk, by dojrzeć w połowie naszego wieku przerażeniem... Sztuka, która eksperymentuje dziś na abstrakcyjnych peryferiach rzeczywistości, intuicyjnie odczuwając nastrój grozy, nie umie go jeszcze, lub nie chce, wyrazić. Przeszkadza jej zapewne obawa przed przekroczeniem granicy Niewiadomego. Przedstawiając z upodobaniem w formie odkształconej i karykaturalnej brzydotę i grozę życia cofa się z zabobonnym szacunkiem przed Tańcem Śmierci. Memento mori nie stanowi hasła dzisiejszego artysty, któremu zdaje się często, że już sama pamięć o życiu dostatecznie jest ciężka do udźwignięcia. Korowód kościotrupów czeka cierpliwie na swoją dziejową kolej.

Mieczysław Paszkiewicz



TANIEC ŚMIERCI. Ilustracja (drzeworyt) Michała Wolgemuta do tzw. „Kroniki norymberskiej" Hartmana Schedela — 1493 r.



ŚMIERĆ NA POLU BITEWNYM. Miedzioryt Stefana della Belli z 1663 roku.

W OLIMPIJSKIEJ PRACOWNI FIDIASZA

Od szeregu lat niemiecka ekspedycja naukowa pod kierunkiem prof. Emila Kunze prowadzi prace wykopaliskowe w znanej z igrzysk Olimpii. Celem ich jest zupełne odkrycie i zrekonstruowanie stadionu igrzysk, który pod względem badawczym nie przedstawia już nic szczególnie interesującego. Obecnie więc chodzi raczej o techniczne zabezpieczenie go na przyszłość, co ma kosztować około 75 tysięcy dolarów.

Nowe odkrycia. Niedaleko od stadionu odkryto wielki bundynek, który był rodzajem olbrzymiego domu gościnnego dla ludzi przybywających na igrzyska, a który od imienia swego założyciela nazywał się „Leonideion". Jest on w szczegółach niespodziewanie dobrze zachowany i zawiera znaczną ilość cennych naczyń ceramicznych. Znajdują się w nim posadzki z mozaiki o nader bogatej ornamentacji.

Najbardziej interesującym jednak odkryciem było dotarcie do olimpijskiej pracowni słynnego rzeźbiarza Fidiasza, który tutaj w Olimpii tworzył posąg Zeusa, uważany za jeden z „cudów świata" w starożytności. (Fidiasz umarł około r. 430 przed nar. Chr.) Żyjący w II wieku przed nar. Chr. historyk i geograf grecki Pauzaniasz, którego dzieła stanowią dziś prawdziwy przewodnik dla badaczy starożytności greckiej, a zwłaszcza dla prowadzących prace wykopaliskowe, wyraźnie wspomina o tym, iż w Olimpii, obok pracowni Fidiasza znajdował się osobny budynek, w którym mieścił się ów sławny posąg Zeusa.

Urządzenia techniczne pracowni. Ostatnie odkrycia wskazują, iż właśnie natrafiono na urządzenia, które wielkiemu artyście służyły w czasie jego prac w Olimpii.

Znaczne ilości resztek materiałów świadczą, że do zrobienia i ozdobienia posągu używano kości zwykłej i słoniowej, metali takich jak ołów, żelazo i brąz, gipsu oraz rozmaitych farb. Znaleziono też kawałki wulkanicznej, szklistej ciemnej masy, nieznanej dotychczas jako materiał zdobniczy w sztuce greckiej oraz wiele ozdób szklanych, które na miejscu odlewano a potem starannie szlifowano.

Prace badawcze wciąż trwają i przyniosą zapewne jeszcze niejedno odkrycie.

NASZE SPRAWY

RZEKOME KOMUNISTYCZNE OSIĄGNIĘCIA

Cały świat jest pod wrażeniem pojawienia się na niebie sowieckiego satelity, mikroskopijnego sztucznego księżyca, krążącego po własnej orbicie dookoła ziemi. Wszyscy podziwiamy osiągnięcia naukowe i przemysłowe sowieckie świadczące, że w dziedzinie rakiet — jednego z czołowych narzędzi wojennych — Rosja góruje dziś nad Ameryką.

Słyszy się w związku z tym jeszcze głośniej zdanie, powtarzane i bez tego już od wielu lat: komunizm zbudował w Rosji przemysł. Rosja była zacofanym krajem rolniczym, ale komunizm przekształcił ją w wielkie, drugie dziś w świecie mocarstwo przemysłowe. Komunizm, to prawda, unieszczęśliwił całe pokolenie Rosjan, rozlał całe morze rosyjskiej i nie tylko rosyjskiej krwi, wycisnął z ludu rosyjskiego morze łez i potu, wznowił iście asyryjskie metody ucisku i terroru, ale za cenę tych ofiar zrobił przynajmniej jedno: uprzemysłowił Rosję, a więc obdarzył Rosję potęgą i postępem, jakich pod cesarskimi rządami nie znała.

Gdy Polak czyni tego rodzaju rozważania na temat Rosji, jest to zabawa nieszkodliwa. Ale niejeden Polak zaczyna w związku z tym mówić rzeczy, które są czymś o wiele ważniejszym niż tylko nieszkodliwą zabawą. Zaczyna mianowicie mówić, że skoro komunizm uprzemysłowił Rosję, to może tak samo uprzemysłowi i Polskę. A więc niech w Polsce porządzi jak najdłużej i niech — choćby kosztem wielkich ofiar ludności — pomnoży polską potęgę.

Otóż jest to skończone głupstwo — i to głupstwo bardzo niebezpieczne. Komunizm nie uprzemysłowił Polski i nie uprzemysławia jej w dalszym ciągu, ale ją rujnuje. Jeśli Polska dzisiaj jest bardziej uprzemysłowiona niż była przed rokiem 1939, to wynika to z tej bardzo prostej przyczyny, że przesunęła się ze wschodu na zachód i objęła tereny już od dawna o wiele bardziej rozwinięte gospodarczo od ziem, które straciła. Dalsze trwanie systemu komunistycznego w Polsce nie bogaci i nie posuwa naprzód Polski, ale ją zuboża, dezorganizuje i cofa.

I tak samo i Rosji komunizm zgoła nie uprzemysłowił. Rosja uprzemysłowiła się nie d z i ę k i komunizmowi, ale p o m i m o komunizmu. Gdyby rewolucji komunistycznej w Rosji nie było, Rosja byłaby dziś zapewne o wiele większą potęgą przemysłową niż jest.

Aby zrozumieć, co się z Rosją w dziedzinie przemysłowej stało, trzeba porównać Rosję z Ameryką. Spójrzmy na mapę: przecież Rosja i Ameryka to są dwa kraje bliźniacze. To są dwie olbrzymie krainy, niemal kontynenty, sięgające od oceanu do oceanu na wschodzie i zachodzie, wkraczające w w strefę arktyczną na północy, a wchodzące w kraje tropikalne na południu. To są dwa obszary o niesłychanym, naturalnym bogactwie, o przeogromnych przestrzeniach urodzajnej gleby, nadającej się do masowej produkcji rolniczej, o nieprzebranych zasobach górniczych, o wszystkich możliwych surowcach. To są dwa kraje młode, dziewicze, do niedawna puste, skolonizowane przez olbrzymie rojowisko ludzkie, przez człowieka białego, który wyruszył na podbój tych ziem, zamieszkanych przez nieliczne plemiona tubylcze. Jest rzeczą naturalną i nieuchronną, że rozwój tych dwóch krain toczy się po torach równoległych.

Rosja była w stosunku do Ameryki krajem w rozwoju opóźnionym. Ale czy dużo opóźnionym? Myślę, że nie popełnię błędu, gdy powiem, że w w dziedzinie gospodarczej opóźnienie to nie wynosi więcej niż jakieś pół wieku.

Nowoczesny przemysł i handel jest w ogóle zjawiskiem młodym. Wyrasta on nie na przestrzeni wieków, lecz na przestrzeni dziesięcioleci. Temu sto lat istotną potęgą przemysłową była w świecie tylko Anglia. Temu pięćdziesiąt lat dogoniły Anglię, lub doganiały, Niemcy, Stany Zjednoczone, Japonia.

Jesteśmy przyzwyczajeni uważać dziś Amerykę za czołową potęgę przemysłową świata. Ale przecież pół wieku temu, za mego najwcześniejszego dzieciństwa, ona tą pierwszą potęgą jeszcze bynajmniej nie była. Pojawienie się w Europie samochodów Forda i amerykańskich filmów było dla Europy pewnego rodzaju niespodzianką: patrzcie, jak się ta Ameryka rozwinęła, zaczynamy kupować wytwory jej przemysłu. Pół wieku temu Ameryka znaczyła mniej na światowym rynku przemysłowym, niż Rosja znaczy dzisiaj. A Rosja pół wieku temu znaczyła na tym rynku z pewnością więcej niż Ameryka temu lat sto.

Dobrą miarą porównawczą stanu rozwoju technicznego i gospodarczego Rosji i Ameryki w różnych epokach jest stan sieci kolejowej. Można stan sieci kolejowych porównywać na mapach w starych encyklopediach; wynika z tego porównania, że Rosja była w tyle za Ameryką o jakieś pół wieku, lub mniej.

Czymże była Ameryka temu lat sto? Był to kraj zaludniony i cywilizowany tylko w wąskiej strefie nadbrzeżnej na wschodzie, ale poza tym kraj pierwotny i dziki. Na stepach, dziś porośniętych pszenicą, pasły się stada bizonów, na które polowali Indianie. To prawda, że sto lat temu w Rosji istniała jeszcze pańszczyzna; nie w całej Rosji zresztą, lecz tylko w niektórych jej dzielnicach, bo nie znały pańszczyzny kraje kozackie, ani Syberia, ani daleka Północ. Ale sto lat temu w Ameryce istniała w rozległych dzielnicach rzecz jeszcze gorsza od pańszczyzny, mianowicie niewolnictwo. A jak wyglądał temu lat pięćdziesiąt przemysł amerykański, jaka nędza, ciemnota i ucisk panowały wśród amerykańskiego robotnika — wystarczy czytać ówczesne powieści Sinclaira. Skąd się ten niesłychany rozwój Ameryki wziął? Jakim sposobem przekształciła się Ameryka w ciągu lat stu ze stanu pierwotności i zacofania do swego dzisiejszego rozwoju i bogactwa? Bardzo prosto: pracą, przedsiębiorczością, postępem, inwestycją kapitałową, oszczędnością. Warunki były sprzyjające, bo kraj był z natury bogaty. Pieniądze dawała najpierw Europa w formie pożyczek i inwestycyj, a potem zaczęły narastać kapitały miejscowe. Anglia uprzemysłowiła się pierwsza — ale nic nie stało na przeszkodzie temu, by Ameryka mogła ją dogonić i przegonić.

Nic nie stało na przeszkodzie, by tak samo mogła się uprzemysłowić Rosja. I ona także była krajem dziewiczym o wielkim naturalnym bogactwie. I ona także korzystała z wielkich inwestycyj i pożyczek zagranicznych. Przemysł rozwijał się w Rosji w sposób żywiołowy już za czasów carskich. Już przed pierwszą wojną światową, okręg przemysłowy metalurgiczny w Zagłębiu Donieckim, okręg naftowy w Baku, okręg tkacki i maszynowy w rejonie Moskwy należały do największych ośrodków przemysłowych w świecie, a i inne ośrodki przemysłowe rosyjskie: uralski, petersburski, charkowski, północno-kaukaski i inne, rozwijały się także w szybkim tempie.

Od rewolucji bolszewickiej — która wybuchła w Rosji w październiku 1917 roku — minęło równo 40 lat, a więc blisko pół wieku. Z tego punktu wyjścia, jakim był przemysł rosyjski przed wybuchem rewolucji, Rosja w warunkach niebolszewickich byłaby w ciągu tego czasu tak samo, zwykłym rozwojem gospodarki kapitalistycznej, doszła do roli potęgi, dorównującej Ameryce osiągnięciami przemysłowymi.

Nie zapominajmy także, że zdobycze sowieckie w dziedzinie broni rakietowej są do zawdzięczenia zagarnięciu przez Rosję przodującego na tym polu przemysłu niemieckiego, łącznie z jego personelem.

Osiągnięcia przemysłowe sowieckie nie są niczym niezwykłym; są z pewnością czymś nieskończenie mniej niezwykłym od osiągnięć przemysłowych japońskich w przeszłości, które przecież nie miały podstawy surowcowej i nie korzystały z niczyjej większej pomocy kapitałowej. Rosja Sowiecka przebyła normalną ewolucję przemysłową, nieuniknioną w jej położeniu geograficznym i przy jej zasobach. Ewolucja ta pod rządami carskimi lub w ogóle niebolszewickimi byłaby zapewne szybsza, a już z pewnością o wiele zdrowsza i bardziej bezbolesna. System komunistyczny, do którego właściwości należy olbrzymie marnotrawstwo i biurokratyczna ociężałość, nie tylko tej ewolucji nie przyspieszył, ale ją hamował i opóźniał. Także i w Polsce komunizm nie przyspiesza rozwoju gospodarczego, ale go opóźnia i dezorganizuje.

Polonus.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

POWIKŁANIA NIEMIECKIEJ POLITYKI WSCHODNIEJ

(Od własnego korespondenta z Berlina)

Zapowiadana na okres po wyborach aktywizacja niemieckiej polityki wschodniej przybrała realne kształty. W dniu 19 października rząd w Bonn zerwał stosunki dyplomatyczne z Białogrodem w odpowiedzi na uznanie przez Jugosławię rządu Niemieckiej Demokratycznej Republiki (NDR). Ten pierwszy „samodzielny" krok Niemieckiej Republiki Federalnej (NRF) w zakresie polityki wschodnio-europejskiej spotkał się z jak najdalej idącymi zastrzeżeniami i wątpliwościami nie tylko opozycji politycznej, ale i ze strony wpływowych osobistości obozu chrześcijańsko-demokratycznego. Jakkolwiek minister von Brentano zapewnił na konferencji prasowej, odbytej bezpośrednio po doręczeniu ambasadorowi jugosłowiańskiemu noty zawiadamiającej o zerwaniu stosunków, że krok ten nie powstrzyma rządu od kontynuowania zabiegów o normalizację stosunków z Warszawą i innymi państwami wschodnio - europejskimi, trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób „polityka siły", dogmatycznie zademonstrowana wobec Jugosławii, torować sobie będzie drogę do skutecznego porozumienia z Warszawą. Nadzieje na wymianę choćby przedstawicielstw handlowych pomiędzy Polską a NRF wydają się dziś być mniejsze aniżeli kiedykolwiek na przestrzeni ostatnich dwunastu miesięcy. A jeśli doszłoby nawet do pewnej normalizacji, trudno spodziewać się po niej tych efektów politycznych, jakie inspirowały rzeczników porozumienia.

Dylemat polityki niemieckiej. Zagadnienie zjednoczenia stanowi prymat polityki niemieckiej. Rosja uważa, że w celu doprowadzenia do zjednoczenia, konieczne są bezpośrednie rozmowy pomiędzy rządem w Bonn i rządem wschodnio - niemieckim. Niemcy zachodnie — jak również i wielkie mocarstwa zachodnie — nie uznają NDR i widzą praktyczną drogę do zjednoczenia w postaci wolnych wyborów na obszarze obu republik niemieckich. Nieuznawanie państwa wschodnio-niemieckiego i ignorowanie jego legitymacji do reprezentowania 18 milionów Niemców mieszkających na wschodzie, stanowi podstawowy dogmat zachodnio - niemieckiej polityki zjednoczeniowej. Z dogmatu tego wypływa fakt nieutrzymywania stosunków dyplomatycznych z tymi państwami, które uznają Pankow (siedziba rządu wschodnio-niemieckiego). Wyjątek uczyniono w jednym tylko wypadku, w roku 1955, kiedy zdecydowano się na nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Moskwą. Ten wyjątek uzasadniono faktem, że Rosja jest mocarstwem okupującym Niemcy wschodnie i że od niej wyłącznie zależy zjednoczenie obu państw niemieckich.

Dogmat nieuznawania państwa wschodnio-niemieckiego podzielany jest teoretycznie przez wszystkie stronnictwa polityczne NRF. W praktyce — od dłuższego już czasu — w niektórych odłamach opozycji politycznej podnoszono wątpliwości co do celowości niezachwianego podtrzymywania tej tezy, a szczególnie jeśli chodzi o nieutrzymywanie stosunków dyplomatycznych z państwami współpracującymi z Pankow. W ciągu ostatniego zwłaszcza roku, od czasów „polskiego października", kiedy na porządek dzienny polityki Bonn wpłynęła sprawa normalizacji stosunków z Warszawą, mnożyły się głosy dowodzące, że w interesie dalszych postępów odwilży we wschodniej Europie, a tym samym w interesie zjednoczenia Niemiec, leży bliski kontakt ze stolicami państw bloku wschodniego, bez względu na to, jak ich stosunki układają się z Pankow.

Postawę NRF w ciągu minionych dwunastu miesięcy w stosunku do ruchów odwilżowych we wschodniej Europie scharakteryzować można określeniem polityki ciągłych wahań. Chciano uznać rząd warszawski, ale obawiano się naruszenia dogmatu nieuznawania Pankowa. Chciano zacieśnić kontakt z Polską, ale nie dowierzano trwałości przemian, jakie nastąpiły w polityce polskiej po „październiku". Gdy zwyciężały skłonności do przeceniania skutków XX kongresu i do podjęcia próby bardziej elastycznego traktowania problemu zjednoczenia, to nie na długo, bo wstrzymywała je myśl, że właściwie nic na wschodzie się nie zmieniło i że należy kontynuować „politykę siły" jako jedynie skutecznego środka, mogącego w przyszłości doprowadzić do unifikacji państwowej. W praktyce sprawa zjednoczenia, mimo że „prymat" jej był stale na ustach wszystkich polityków, stawała się — wobec nieustępliwości sowieckiej i zaostrzania wysuwanych ze strony Sowietów warunków — coraz bardziej i bardziej iluzoryczna.

Nie ma niemieckiej „Ost-politik". W rzeczywistości Niemcy nie posiadają koncepcji, jeśli chodzi o ich politykę wschodnią. Brak sprecyzowania sobie celów tej polityki i środków ich realizacji powodował stałe wahania bonskiego „Auswärtiges Amt". Decyzja zerwania stosunków z Białogrodem, po nerwowym szukaniu wyjścia ze ślepego zaułka, w jakim znalazła się polityka niemiecka, jest klasycznym objawem całkowitej dezorientacji. Dyskusja na temat reakcji niemieckich — na wypadek uznania Pankowa przez Jugosławię — zaczęła się we wrześniu, nazajutrz po przyjeździe delegacji polskiej do Białogrodu. Początkowo ostrze reakcji tej kierowało się przeciwko uznaniu przez Titę granicy na Odrze i Nysie i stopniowo dopiero przesuwał się punkt ciężkości pretensji na problem uznania NDR. Bezpośrednio po wyborach, ściślej mówiąc po przyjeździe niemieckiego ambasadora w Białogrodzie G. Pfleiderera do Bonn, sprawa przycichła, mimo że musiało być wiadomym już wówczas, że uznanie przez Titę Pankowa jest kwestią najbliższego czasu. A kiedy uznanie to zostało już zapowiedziane, poważni rzecznicy obozu rządowego przestrzegali przed wyciąganiem radykalnych wniosków, dając do zrozumienia, że sprawa skończy się na platonicznym proteście. Co spowodowało ostateczną skrajną reakcję?

Wtajemniczeni w kulisy polityki zagranicznej Bonn, obecni w Berlinie na uroczystości inauguracyjnej trzeciej kadencji Bundestagu dziennikarze, potwierdzali kursujące już poprzednio pogłoski o ostrej walce wewnątrz bonskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych na temat kroków, jakie Bonn w odpowiedzi na „akt nieprzyjazny" Białogrodu winien podjąć. Walczyły ze sobą dwa od dawna istniejące kierunki. Jeden z nich, uważający przemiany na wschodzie za tylko przejściowy raczej manewr — był inspirowany przez dwóch profesorów, reprezentujących myśl polityczną „Auswärtiges Amt": sekretarza stanu profesora Hallsteina i dyrektora politycznego MSZ, profesora Grewe. Zalecali oni jak najostrzejszą reakcję. Kierunek drugi, którego wyrazicielami byli przede wszystkim: ambasador Pfleiderer i szef działu „krajów" (Länderabteilung), Freiherr Welck, dowodził konieczności otwierania jak największej ilości drzwi i furtek, prowadzących do krajów wschodnio - europejskich, zwłaszcza tych, w których odwilż porobiła widoczne postępy, by tym sposobem, powoli, uzyskać możliwość ewolucyjnego przygotowania zjednoczenia. Zerwanie stosunków z Jugosławią zablokowałoby, ich zdaniem, wszelkie możliwości wyzyskania dla celów niemieckiej polityki zjednoczeniowej kontaktów ze stolicami wschodnio - europejskimi. Jedni dowodzili, że brak reakcji na uznanie NDR przez Jugosławię pociągnie za sobą szereg dalszych uznań NDR, a mianowicie przez państwa arabskie i neutralne, drudzy twierdzili, że proces ten i tak tylko przez pewien jeszcze czas da się powstrzymać, że zresztą uznanie Warszawy, które — zdaniem ich — nastąpić winno w najbliższym czasie, zmusi i tak Bonn do porzucenia dogmatycznej formuły, iż „w żadnym państwie (poza Rosją) nie może być dwóch ambasadorów niemieckich".

Szanse obu kierunków zdawały się być równe, wydawało się nawet, że stanowisko Pfleiderera, wybitnego dyplomaty i najbardziej zdecydowanego rzecznika elastycznej aktywizacji niemieckiej polityki wschodniej, zwycięży. Ale Pfleiderer, przebywający w Bonn od czasów wizyty Gomułki w Białogrodzie, umarł tu nagle. Kierunek umiarkowany stracił swego najbardziej utalentowanego rzecznika. Minister von Brentano przychylił się do zdania Hallsteina i Grewego. Nadzieje, wiązane z zachęcającymi gestami kanclerza Adenauera w sprawach polskich, zawisły — przynajmniej w tej chwili — w powietrzu.

Stosunki polsko-niemieckie? Jest cechą charakterystyczną, że Niemcy mówiąc i analizując problem niemiecko-jugosłowiański myślą przede wszystkim o stosunkach polsko-niemieckich i konsekwencjach, jakie konflikt z Białogrodem pociągnie za sobą dla przyszłości obu państw. Von Brentano, uzasadniając przedstawicielom prasy drastyczny krok rządu w Bonn wobec Jugosławii, kładł szczególny nacisk na stwierdzenie, że zerwanie z Białogrodem nie ma w niczym wpływać na niemieckie zamiary unormowania stosunków z Polską. Sprawa ta — mówił minister — jakkolwiek jeszcze nie dojrzała, stanowi nadal przedmiot szczególnych rozważań rządu. Inaczej należy oceniać — dowodził von Brentano — stosunki z państwem, które od chwili powstania NDR utrzymuje z nim kontakt, aniżeli z państwem, które jest wprawdzie komunistyczne, ale nie należy do bloku wschodniego. Rozumowanie to nie jest pozbawione słuszności, ale, w praktyce przekreśla zasadę, że w żadnym państwie nie może być dwóch ambasadorów niemieckich. Rzecznicy porozumienia z Polską robią zarzut polityce Bonn, że mimo licznych okazji nie zdobyła się dotychczas na uznanie Warszawy. Gdyby akt uznania rządu wschodnich Niemiec przez Jugosławię nastąpił w sytuacji, w której rząd w Bonn posiadałby już stosunki z Warszawą, postępowanie Białogrodu nie potrzebowałoby być traktowane jako akt wrogi w stosunku do NRF.

Normalizacja stosunków polsko-niemieckich zależy od woli obu zainteresowanych partnerów. Obecne władze w Polsce niejednokrotnie na przestrzeni ostatnich miesięcy wysuwały gotowość wymiany przedstawicielstw dyplomatycznych i zacieśnienia współpracy gospodarczej i kulturalnej z zachodnimi Niemcami. Reakcje Warszawy na krok NRF wobec Białogrodu są — jak dotychczas — bardzo ostre. Powątpiewać na-

leży, czy w nowych warunkach Warszawa będzie chciała podtrzymywać swoją ofertę w dotychczasowej formie. A jeśli nawet formalnie nic nie stanie na przeszkodzie do urzeczywistnienia tego od dawna już dojrzałego kroku, powstaje kwestia, czy normalizacja ta wypełniona zostałaby taką treścią i atmosferą, która pozwalałaby na ziszczenie tych politycznych nadziei, które po obu stronach z faktem normalizacji stosunków łączono.

Normalizacja leży w interesie polskim. Koła gospodarcze w Polsce łączą z zacieśnieniem stosunków pomiędzy obu krajami duże nadzieje co do możliwości uzdrowienia polskiej sytuacji ekonomicznej. Podobne wyrachowania gospodarcze istnieją zresztą i w kołach niemieckiego przemysłu, którego przedstawiciele są wyraźnie rozczarowani i niezadowoleni biegiem wypadków, spowodowanych incydentem jugosłowiańskim. Normalizacja — gdyby została urzeczywistniona przed uznaniem przez Białogród rządu w Pankow — mogłaby zawierać zadatek na pomyślne przezwyciężenie w przyszłości istniejących skomplikowanych trudności politycznych. Trudno powiedzieć, jak rozwijać się będą obecnie stosunki pomiędzy obu państwami. Należy odczekać. Wiele zależeć będzie od śmiałości i odwagi, z jaką sformułowane zostaną ewentualne przyszłe konkretne propozycje niemieckie.

St. Czechanowski

DEKLARACJA WASZYNGTOŃSKA

Pogróżki Chruszczowa na tle sygnałów, które śle w przestrzeń krążący dokoła ziemi sowiecki satelita, przyczyniły się do otrzeźwienia Zachodu i gwałtownego zwrotu ku jedności, połączeniu wysiłków i wspólnej strategii w walce o pokój.

Spotkanie prezydenta Eisenhowera z premierem brytyjskim Macmillanem w Waszyngtonie dało wyraz tym przemianom. Minął okres tarć i dąsów; wydaje się także, że minął okres odkładania decyzji. Nowy duch przyjaznej, ale przede wszystkim rzeczowej i praktycznej współpracy cechował rozmowy waszyngtońskie i przejawia się w rezultatach. Pełna współpraca amerykańsko-brytyjska w dziedzinie wojskowego stosowania energii cieplno - jądrowej, na wszystkich szczeblach naukowego i technicznego wysiłku, została postanowiona. W sprawie syryjsko-tureckiego kryzysu, sztucznie wywołanego przez dywersję i propagandę sowiecką, stanowisko zajęte przez demokracje zachodnie jest jasne i zdecydowane: Sowiety zostały ostrzeżone, że jakakolwiek forma agresji przeciwko Turcji spotka się z czynnym i ofensywnym odporem wszystkich członków Paktu Północno-Atlantyckiego.

Wspólna deklaracja, która podkreśla wyraźnie zasadę współzależności narodów w świecie dzisiejszym oraz charakter przymierza demokracji anglo-saskich, jako służby wspólnym interesom wolnych narodów, jest w obecnym momencie dokumentem zasadniczej wagi, wartym starannej analizy. Oto **tekst „deklaracji waszyngtońskiej":**

„Spotkaliśmy się jako wieloletni przyjaciele, mający do siebie pełne zaufanie, którym przypadło w udziale kierownictwo rządu w naszych obu krajach.

Kraje te łączą więzy bliskie, wrośnięte w ich historię; narady nasze są również powiązane ścisłymi i nierozerwalnymi więzami z innymi wolnymi krajami.

Uznając, że jedynie przez **ustalenie sprawiedliwego pokoju** mogą być zrealizowane najgłębsze aspiracje wolnych ludów, przyjęliśmy za cel naszych narad określenie jak najskuteczniej używać moralnej, intelektualnej i materialnej siły obu narodów dla wykonania w pełni naszego udziału w tych zadaniach, które najpewniej i jak najszybciej zapewnią warunki, w jakich pokój może się utrwalać.

Jednym z tych zadań jest **zapewnienie bezpieczeństwa wolnemu światu.**

Wolne narody posiadają rozległe wartości, zarazem materialne i moralne; wzięte łącznie są one znacznie większe od tych, które ma w swej dyspozycji świat komunistyczny.

Nie zamykamy oczu na fakt, iż władcy sowieccy mogą osiągać potężne dokonania materialne przez koncentrowanie się na określonych zagadnieniach, wykorzystanie nauki i przez ujarzmianie swych ludów dla tych wysiłków. Ustroje despotyczne nieraz mogły się wykazać imponującymi pomnikami. Ale cena ich była bardzo wysoka. **Wszystkie ludy tęsknią do intelektualnej i gospodarczej wolności,** tym bardziej, gdy będąc w pętach niewoli oglądają innych dających świadectwo chwale wolności.

Nawet despoci są zmuszeni do dopuszczenia wzrostu wolności w ewolucyjnym procesie, ponieważ inaczej zagraża gwałtowna rewolucja. Ta zasada jest niewzruszona w swoim działaniu. Zaczyna się to już ujawniać w sowieckiej strefie wpływów.

Jeżeli wolne narody będą nieugięte, jeżeli będą zyżytkowywać swoje zasoby w harmonijnej współpracy, totalitarne zagrożenie, które stoi przed nami teraz, zacznie z biegiem czasu ustępować.

W zastosowaniu tych naszych przekonań oraz dla przykładu, który — wierzymy w to — może się rozprzestrzenić wśród narodów wolnego świata, porozumieliśmy się co do następujących ustaleń:

1. Pakty, które narody wolnego świata zawarły w celu zbiorowej obrony i wzajemnej pomocy, opierają się na uznaniu zasady, że **samowystarczalność narodowa należy do przeżytków.**

Kraje wolnego świata są współzależne i jedynie w rzetelnej współpracy, przez zespolenie zasobów i wspólne podjęcie prac w wielu dziedzinach, można osiągnąć postęp i bezpieczeństwo.

Jeżeli chodzi o nas, porozumieliśmy się, że nasze dwa kraje będą na przyszłość działać zgodnie z tą zasadą.

2. Nasi przedstawiciele w Radzie Paktu Północno-Atlantyckiego będą się domagali rozszerzonego wysiłku społeczności atlantyckiej w badaniach naukowych i osiągnięciach na rzecz większego zbiorowego bezpieczeństwa, jak również rozwoju bieżących zadań polowych sił zbrojnych, zgodnie z grudniową decyzją Rady.

3. Prezydent Stanów Zjednoczonych zwróci się do Kongresu Stanów Zjednoczonych o zmianę ustawy w sprawie energii atomowej w sposób, który może się okazać konieczny i pożądany, by dopuścić bliską i owocną współpracę uczonych i techników Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i innych zaprzyjaźnionych krajów.

4. **Propozycje rozbrojeniowe,** wniesione przez delegatów z Zachodu na obrady Podkomisji Rozbrojeniowej w Londynie oraz zatwierdzone przez wszystkich członków Paktu Północno-Atlantyckiego, są słuszną i uzasadnioną podstawą dla porozumienia, które by zmniejszyło groźbę wojny i ciężar zbrojeń.

Należy przeciwdziałać nieograniczonemu nagromadzeniu broni jądrowych i bezładnemu rozszerzaniu umiejętności produkowania ich. **Skuteczna i odpowiedzialna inspekcja** powinna stać się częścią integralną początkowych kroków w sprawie kontroli i ograniczenia zbrojeń.

5. W braku takiego rozbrojenia, do jakiego dążymy, międzynarodowe bezpieczeństwo polega dziś nie tylko na lokalnych zaporach obronnych, ale na wzmocnieniu ich siłą odstraszającą i odwetową broni jądrowych.

Jak długo istnieje groźba, którą stanowi międzynarodowy komunizm, wolne narody muszą być gotowe do zapewnienia ich własnego bezpieczeństwa. Ponieważ środki stosowane przez wolny świat są wyłącznie obronne i stanowią zabezpieczenie przed zewnętrzną agresją, nie można przewidzieć okresu czasu, na jaki muszą być one utrzymywane.

Każdy poszczególny naród nie jest w stanie, działając samodzielnie, zapewnić sobie pełnego bezpieczeństwa. Jedynie zbiorowe środki mogą się okazać wystarczające. Byłoby bardziej pożądane, by szukać ich poprzez wykonanie postanowień Karty Narodów Zjednoczonych co do sił zbrojnych w dyspozycji Rady Bezpieczeństwa. Jak długo jednak Związek Sowiecki będzie unicestwiał te postanowienia przez swoje veto, zapewnienie skuteczniejsze zbiorowego bezpieczeństwa musi być osiągnięte innym sposobem. Szkielet takiego systemu istnieje w postaci porozumień w sprawie zbiorowego bezpieczeństwa, w których uczestniczy dzisiaj około 50 państw, upoważnionych do tego przez konstytucję (Zjednoczonych Narodów).

6. Nasze dwa państwa zamierzają przedyskutować te sprawy ze wszystkimi partnerami w dziedzinie bezpieczeństwa. Co się tyczy przymierza Północno - Atlantyckiego, grudniowe posiedzenie Rady Północno-Atlantyckiej może w tym względzie nabrać specjalnego charakteru. Zostało ono omówione z Sekretarzem Generalnym, p. Spaakiem.

Wszyscy członkowie tej wspólnoty, jak również inne wolne kraje, które by sobie tego życzyły, powinny być bardziej świadome całokształtu zdolności obronnej, istniejącej obecnie i przewidywanej. Powinny również zaistnieć większe możliwości upewnienia się, że potęga wspólna będzie istotnie dostępna w razie potrzeby jej użycia dla celów zbiorowego bezpieczeństwa, jak też, że nie będzie ona nadużyta przez żadne państwo dla celów innych niż **indywidualna czy zbiorowa samoobrona,** zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych.

7. Obok Paktu Północno - Atlantyckiego, Pakt Zbiorowego Bezpieczeństwa Południowo-Wschodniej Azji, Pakt Bagdadzki i inne porozumienia w sprawie bezpieczeństwa stanowią silną zaporę przeciwko agresji na różnych obszarach objętych traktatami.

Istnieją także związki o żywotnym znaczeniu, aczkolwiek innym charakterze. Istnieje Wspólnota (Commonwealth), a na półkuli zachodniej istnieje organizacja państw amerykańskich. Istnieją również poszczególne układy o obronie wzajemnej, w których stroną są Stany Zjednoczone.

8. Uznajemy, że **nasze wysiłki w zakresie zbiorowego bezpieczeństwa muszą być podtrzymywane i umacniane przez akcję na rzecz współpracy ekonomicznej.** Uważamy, że — zwłaszcza w krajach ekonomicznie mniej rozwiniętych — powinien następować **stały i wydatny wzrost standardu życiowego i rozwoju ekonomicznego.**

9. Zwróciliśmy uwagę na specyficzne czynniki w tej walce ideologicznej, którą prowadzimy. W szczególności jesteśmy całkowicie zgodni co do spraw następujących:

— sowieckie pogróżki, skierowane przeciwko Turcji, nadają pełne znaczenie uroczystym zobowiązaniom, wynikającym z artykułu 5 Paktu Północno-Atlantyckiego, że mianowicie **zbrojny atak przeciwko któremukolwiek uczestnikowi przymierza jest atakiem przeciwko wszystkim;**

— zjednoczenie Niemiec na zasadzie wolnych wyborów jest konieczne; na konferencji genewskiej w r. 1955, p. Chruszczow i p. Bułganin zgodzili się co do tego z nami i naszymi francuskimi sojusznikami; **uparte niedotrzymywanie tego porozumienia, jak również trwające pozbawianie wolności ludów we Wschodniej Europie podważają zaufanie międzynarodowe i stanowią podtrzymywanie niesprawiedliwości, są szaleństwem i groźbą.**

Prezydent i Premier wierzą, że porozumienie, które osiągnęli, będzie stawało się skuteczne w tym szerszej mierze, im bardziej przykład jego będzie się rozszerzał wśród wolnych narodów. **Przez skoordynowanie siły wszystkich wolnych narodów bezpieczeństwo może być zapewnione, niebezpieczeństwo ze strony komunistycznego despotyzmu będzie z biegiem czasu zanikało, aż osiągnięty zostanie sprawiedliwy i trwały pokój."**

Należy ufać, że wspomniane w deklaracji waszyngtońskiej **„wartości moralne"** nie pozostaną tylko hasłem na papierze wśród krajów wolnego świata, ponieważ w ostatecznej mierze od tych wartości zależeć będzie zdolność do ofiar i napięcie woli konieczne dla zrealizowania głoszonych zasad oraz w konsekwencji wygranie batalii o zaufanie setek milionów ludzi poza granicami zachodnich mocarstw.

ŚWIATOWE UZDROWISKO NA WYSPACH

Na południowy wschód od Florydy położony jest archipelag Bahama (nazywany też Wyspami Lukajskimi), złożony z dwudziestu zamieszkałych wysp oraz wielu nie zamieszkałych wysepek i skał koralowych sterczących z morza. Bahama należą do Indii Zachodnich, można więc było przypuszczać, że wejdą do stworzonej obecnie federacji Indii Zachodnich, na równi z Jamajką, Barbados, Trynidadem oraz innymi wyspami. Decyzje poszły jednak w innym kierunku. Główną przyczyną jest odmienny charakter etniczny mieszkańców; ludność archipelagu Bahama składa się niemal wyłącznie z kolonistów brytyjskich, podczas gdy wyspy położone dalej na południowy wschód, które mają wchodzić w skład federacji Indii Zachodnich, zaludnione są głównie przez „czarnych" i „kolorowych", przede wszystkim Murzynów, ze sporą domieszką Chińczyków i Hindusów. Przeto postanowiono utrzymać dotychczasowy status prawny wysp Bahama jako kolonii brytyjskiej, podczas gdy federacja Indii Zachodnich ma niedługo otrzymać status dominium w ramach Commonwealthu.

Drugą przyczyną jest fakt, że wyspy Bahama stały się od pewnego czasu wielkim uzdrowiskiem o światowym rozgłosie, dokąd, zwabieni wspaniałym klimatem, przybywają ludzie zamożni z Europy i Ameryki.

Ongiś baza piratów. Bahama mają barwną przeszłość. W wieku XVII kapitan William Sayle, były gubernator Wysp Bermudzkich, zorganizował akcję osadniczą na Wyspach Bahama, dotąd bardzo skąpo zaludnionych. Uzyskał pozwolenie na osadzenie grupy awanturników na jednej z wysp archipelagu; wyspę nazwano Eleuthera (z greckiego „eleutheros", co znaczy wolność), a owych osadników ochrzczono „awanturnikami eleutherskimi". Potomkowie ich wybitnie zasłużyli się dokoła rozwoju swej przybranej ojczyzny; niektórzy zajmują dziś przodujące stanowiska w życiu publicznym i gospodarczym wysp.

Kiedy po roku 1703 na skutek najazdów oddziałów francuskich i hiszpańskich dotychczasowy porządek zawalił się, na widowni pojawili się piraci, którzy zrobili swą bazę z portu w Nassau i podporządkowali sobie całą kolonię. Wreszcie po dosyć długich rządach piratów zdecydowano wysłać energicznego gubernatora w osobie kapitana Woodes Rogersa wraz z odpowiednimi siłami. Nowy gubernator w imieniu króla ofiarował przebaczenie tym piratom, którzy się poddali; przywrócony został porządek i ustanowiony ład prawny, oparty na zasadzie reprezentacyjnej. Emblemat kolonii zawiera od tego czasu słowa łacińskie: „Expulsis piratis restituta commercia".

Nowym etapem w rozwoju kolonii, po wojnie o niepodległość Ameryki Północnej pod koniec XVIII wieku, było udzielenie ziemi pokonanym „lojalistom", którzy osadzili się na Wyspach Bahama i wkrótce odznaczyli się w ich życiu. Potomkowie tej nowej imigracji zachowali swą wierność wobec Wielkiej Brytanii.

Archipelag Bahama liczy 11.985 kilometrów kwadratowych powierzchni i 66.000 mieszkańców. Stolicą — jeśli można używać tego szumnego określenia — jest miasteczko Nassau, zarazem ośrodek turystyczny i klimatyczny.

Amerykańska Riwiera. Wybrzeża Florydy zasługują na nazwę amerykańskiej Riwiery, a klimat Bahama, zwłaszcza w porze zimowej, przewyższa klimat Florydy. Na wybrzeżach Florydy zbudowano szereg wielkich, luksusowych hoteli, z kolei H. M. Flagier ze Standart Oil podjął budowę podobnych hoteli w Nassau. Obecnie obok tego łańcucha pałacowych hoteli istnieje pewna ilość hoteli mniejszych. Zimowy sezon staje się coraz rojniejszy. Buduje się także coraz więcej domów i willi prywatnych; powstają prywatne plaże i boiska do gry w golfa.

Poza Nassau uczęszczane są przez turystów i zwolenników tamtejszego klimatu także i inne wyspy, do których można się dostać morzem lub drogą powietrzną, jak Abaco, Andros, wspomniana już Eleuthera i Grand Bahama. Komunikacja ostatnio rozwinęła się nadzwyczajnie. Podróż lotnicza z Londynu do wysp Bahama trwa tylko 23 godziny samolotem brytyjskiej kompanii B. O. A. C. Przeloty do Bahama utrzymują również Pan American Airways, Trans-Canada oraz Mackey; jest też regularna komunikacja między Miami, Jamajką i wyspami Bermudzkimi a Nassau.

Od mniej więcej dwóch lat poza przemysłem turystycznym wyspy Bahama stają się widownią dużego rozwoju gospodarczego. Podstawą tego rozwoju jest zbudowanie wolnego portu na drugiej co do wielkości z wysp, Grand Bahama. W sierpniu 1955 r. rząd kolonii zawarł układ z władzami portu na Grand Bahama; zgodnie z układem rząd kolonii wydzierżawił 50.000 akrów terenów celem zbudowania wolnego portu. W ciągu dwóch ostatnich lat przeprowadzono dużym kosztem prace, których wynikiem było powstanie kanału i basenu portowego o powierzchni miliona stóp kwadratowych, o głębokości 32 stóp. Z początku roku 1958 wolny port będzie na tyle gotowy, że będzie obsługiwać nawet duże statki.

Władza portu przygotuje układy z firmami brytyjskimi i amerykańskimi. Firmy te (a także ich funkcjonariusze) będą zwolnione od wszelkiego opodatkowania na okres co najmniej trzydziestu lat; wolne będą również od opłat importowych w stosunku do tych dóbr, które są potrzebne do prowadzenia interesów tych firm. Jak stwierdzają informacje, liczne brytyjskie firmy zdecydowały się już na przenoszenie swych urządzeń do wolnego portu na Grand Bahama.

Wolny port stał się wielką atrakcją, nie trzeba jednak zapominać, że na decyzję jego stworzenia wpłynęły także doskonałe warunki klimatyczne tego pięknego zakątka świata.

LUDZIE I ZDARZENIA

Albert Camus, francuski eseista oraz autor powieści i dramatów jest od kilku dni laureatem Nobla. O przyznaniu mu przez Akademię szwedzką tej najwyższej nagrody literackiej i moralnej zawiadomił go w dniu 17 października ambasador Szwecji w Paryżu. Wielkie to wyróżnienie przypada Francji po raz dziewiąty; poprzedni laureaci francuscy to: Sully Prudhomme, poeta prowansalski Mistral, Romain Roland, Anatole France, filozof Bergson, Roger Martin-du-Gard, Andre Gide i François Mauriac. Anglicy zdobyli nagrodę Nobla pięciokrotnie, podobnie jak Niemcy i Amerykanie; laureatów — Szwedów jest 4, Norwegów, Włochów i Hiszpanów — po 3; Szwajcarów — 2; Sienkiewicz i Reymont reprezentują literaturę polską. Camus, który za kilka dni kończy 44 rok życia, jest drugim z kolei spośród najmłodszych zdobywców nagrody (Rudyard Kipling otrzymał ją mając lat 42). Tak też jak Kipling Anglik urodzony w Indiach — Camus jest Francuzem z Algerii, gdzie się urodził, rozpoczynał studia i gdzie, jak wyznaje, na zawsze pozostawił swe serce. W latach okupacji niemieckiej, przystępuje do ruchu oporu i m. in. pisuje świetne artykuły wstępne w tajnym „Combat". W roku 1947 ukazuje się najlepsza dotąd powieść Camusa — „Dżuma", a następnie „Człowiek zbuntowany" — odbicie wewnętrznych rozterek autora. — Z utworów drukowanych w latach poprzednich wymienić trzeba przede wszystkim esej o absurdzie — „Mit Syzyfa" i wstrząsającą powieść pt. „Obcy". W kilka miesięcy po uwolnieniu Paryża Jacques Hebertot wystawił w swym teatrze dramat „Kaligula", a w trzy lata później Jean Louis Barrault — sztukę pt. „Stan oblężenia" w teatrze Marigny. Podobnie jak kiedyś Malraux, Albert Camus jest wśród pisarzy francuskich najbardziej bezkompromisowym i bezinteresownym przyjacielem młodego pokolenia, tym który najprawdziwiej umie wyrazić jego rozpacz i jego wiarę. Sam określił on kiedyś sens swej twórczości tymi słowami: „Rolą moją, przyznaję, nie jest, przemieniać świat. Nie mam po temu ani dość cnót, ani mądrości. Ale jest nią, być może, służyć tym kilku wartościom, bez których świat, nawet przemieniony, nie jest wart tego, by w nim żyć; bez których człowiek, nawet człowiek nowy, nie będzie wart szacunku."

✱

Urocze zdjęcie uśmiechniętej **„Królowej Kanady", Elżbiety II,** na tle szeregów sławnej konnej policji kanadyjskiej. Podróż Królowej i ks. Filipa do Kanady i do Stanów Zjednoczonych Ameryki była niezaprzeczalnym sukcesem osobistym ich obojga — przede wszystkim wobec szerokich mas społeczeństwa. Bezpośredniość i żywe zainteresowanie się sprawami społecznymi ujęły wszystkich. Usługa, jaką para królewska oddała zbliżeniu atlantyckiemu, jest praktyczną odpowiedzią dla brytyjskich krytyków funkcjonowania ich własnej instytucji — monarchii, która zresztą umiejętnie z krytyk korzysta.



✱

Hr. Rantzau był w roku 1917 ambasadorem niemieckim w Kopenhadze. Fakt ten nie byłby na pewno godny przypomnienia go w roku 1957, gdyby nie łączył się ściśle z pewną, obchodzoną właśnie w tych dniach, dość ważną rocznicą: 40-leciem rosyjskiej rewolucji październikowej . Nie kto inny bowiem, jak właśnie ekscelencja Rantzau zorganizował na kilka miesięcy przed jej wybuchem przerzucenie do Rosji w zaplombowanym wagonie pewnego człowieka z bródką, który od 10 lat przebywał na emigracji w Szwajcarii. Człowiek ów nazywał się Włodzimierz Iliicz Ulianow, ale bardziej był znany pod pseudonimem Lenin. Jego to przede wszystkim dziełem był bolszewicki zamach stanu i zorganizowanie tzw. dyktatury proletariatu. W świetle najnowszych badań tajnych archiwów rządu niemieckiego z tego okresu, okazuje się jednak, że historyczna rola hr. Rantzau nie zaczęła się od tego historycznego transportu. Działalność jego — prowadzona, rzecz oczywista, według instrukcji niemieckiego sztabu generalnego — miała dla przyszłości Rosji i Europy znaczenie jeszcze bardziej zasadnicze. Za pośrednictwem agenta wyspecjalizowanego w sprawach rosyjskich, który nazywa się Parvus Helphand, ambasador tworzy już z końcem 1916 roku specjalną organizację łączności z bolszewikami. Sześciu jej członków rezyduje w Kopenhadze, dziesięciu w Rosji. Niemcy wiedzą dobrze, że rewolucje nie udają się bez pieniędzy. Chodzi więc o to, by zasilać spisek bolszewicki niemieckimi funduszami. Wywołanie zaś nowego przewrotu i obalenie pro-alianckiego rządu Kiereńskiego jest najpewniejszym sposobem wyeliminowania Rosji z obozu sprzymierzonych i jedyną dla Niemiec szansą wygrania wojny na zachodzie. Suma, którą zapłaciły cesarskie Niemcy za rewolucję październikową, wynosiła — jak się dowiadujemy — 20 milionów rubli w złocie (15 miliardów dzisiejszych franków szwajcarskich). Jedna z pierwszych rat tego subsydium posłużyła na założenie dziennika „Prawda".

✱

Henry J. Kaiser miał w życiu jedną pasję: samochód. W krótkim stosunkowo czasie omal nie doprowadziła go ona do kompletnej ruiny. Ten autentyczny amerykański miliarder postanowił mianowicie w 65 roku życia stać się jednym z „królów" przemysłu automobilowego. Mimo olbrzymich wkładów pieniężnych, wozy Kaisera nie przyjęły się jednak na rynku amerykańskim, opanowanym przez Cadillaki, Chevrolety, czy po prostu Fordy. Obecnie 75-letni przemysłowiec stał się ostrożniejszy: fabryki jego produkują cement, aluminium i stal. Właściciel ich mieszka w Honolulu i okazuje się, że nie ma więcej pasji życiowych: nie lubi pić, nie pali, nie interesuje go lektura, ani teatr. Nie ma on za sobą żadnych studiów, choć do dziś oznacza się fenomenalną pamięcią. Nowa fortuna Kaisera oceniana jest na 400 milionów funtów.

✱

Komandor Otto Kretschmer został niedawno mianowany dowódcą nowej zachodnio-niemieckiej floty wojennej, która składa się na razie z 60 jednostek. Nazwisko jego, a bardziej jeszcze nadane w czasie ostatniej wojny przezwisko „Wilk Atlantyku" budzi niejedno wspomnienie wśród marynarzy brytyjskich. Kretschmer wsławił się mianowicie tym, że już w pierwszym roku wojny zatopił na Atlantyku 350.000 ton statków alianckich. Walczył jednak po rycersku i gdy w roku 1941 dostał się do niewoli angielskiej, pozostawiono mu jego kapitańską lornetkę ,na której oficerowie Royal Navy wyryli słowa: „lojalnemu nieprzyjacielowi". Nowy dowódca floty Republiki Federalnej posługuje się tą lornetką po dzień dzisiejszy. Obok wspomnianej dedykacji zdobi ją też do dziś... znak swastyki.

CZY UCZESTNICZYSZ W AKCJI POMOCY KRAJOWI?

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.